



# Moja własna Niniwa

Cezary Piotr Startek  
elim@post.pl

# **Rozdział I**

Bezwiedne ciało opadało coraz niżej i niżej, w ponurą, bezkształtną masę ciemności. Bezkresna topiel ogarniała go ze wszystkich stron. Coraz słabiej zaczynał reagować na bodźce zewnętrzne. Wszystko, co miał, zaczynało niemiłosiernie ciążyć. Całe ciało poczęło drętwieć i sztywnieć. Dotychczasowy lęk i nieopisany strach przed czymś, co wybrał, połączony z wielkim poczuciem winy, odchodził w zaświaty. Nie miał już siły, by się bronić, zresztą nawet nie próbował...

To, co jeszcze chciał zrobić, a co przyszło mu z wielkim wysiłkiem, jakby chwycił się niewidocznej liny, zebrał w jedną myśl:

- Panie, przebacz mi...

Wszystko zaczęło się oddalać coraz szybciej i gwałtowniej. Zaczęło przestawać być istotne. To, czym do tej pory żył, pograżyło się jak to światełko w górze, które coraz bardziej się zamazywało i ulatywało w mroczny bezkres.

Nad sobą zostawił przerażający obraz niszczącego sztormu, który wpelzał do wszystkich, najskrytszych zakamarków okrętu. Jeszcze przed chwilą wszystko zdawało się tańczyć w makabrycznym tańcu żywiołu. Wszystko poddane było jego szaleńczej, niszczycielskiej władzy. W tej nierównej konfrontacji geniusz ludzki był jak zmoczona zapalka, która łamie się z byle powodu i nie ma żadnej możliwości, aby ją o cokolwiek rozpalić...

Wszelka nadzieja ulatuje, gdy człowiek poddany jest niszczycielskiej władzy żywiołu. Jedyną rzeczą, którą tylko może zrobić, to oczekiwać niespodziewanego. Inaczej jest słyszeć o czymś, a inaczej uczestniczyć w tak nieludzkim spektaklu.

Nikt z całej załogi w swoim życiu nie widział nic podobnego i przerażającego. Owszem w portach opowiadano wieczorami niezwykle historie i dziwy z odległych krain. Wielu podróżnych słyszało opowiadania o ogromnych nawałnicach i sztormach, ale nikt nie był w stanie sobie tego naprawdę wyobrazić - do dzisiaj...

Czasami matki straszyły dzieci wieczorami, gdy te nie chciały spać, morskimi potworami, które zabierają niegrzeczne i krnąbrne dzieci w czeluści piekielne. To znów o potworach z morskich głębin, które wciągają śmiałków w odmęty.

Bałwany morskie zwały się jeden po drugim na malutką łupinę dryfującą po bezkresnym morzu. Z ogromnym hukiem i łoskotem fale ze wszystkich stron przelewały się przez burty. Słońce, które jeszcze do niedawna świeciło na firmamencie, uciekło przerażone, jakby przeczuwało to, co wkrótce miało nieuchronnie nadejść. Chmury, z małych, niepozornych strzępów, stały się nagle brudnogrnatowe. Potężne, bufoniaste bałwany rosły w oczach. Przysłoniły całe niebo, jakby chciały zakomunikować zmierzch czasów.

Niebo zwarło nad morzem całą swą potęgę, ciskając weń rozwścieczone pioruny. Wzburzone morze zaczęło podnosić fale, które stawały się coraz bardziej niebotyczne, zakrywając cały okręt nieprzeniknionym murem z obydwu stron. Wszystkie inne statki, jakby odczytując znaki zostawiane przez przezorną naturę, umknęły do portów.

Spienione grzywacze obnażały wrogość głębin. Niebo sprzeniewierzyło się morzu, a morze niebu. Przy czym okręt był na tym tle dziecinną igraszką morskich żywiołów. Dowódca statku widać zignorował znaki z nieba albo nie odczytał ich należycie, ufając bardziej swej intuicji, która go do tej pory nigdy nie zawodziła. Śmiał się w twarz wszelkim przeciwnościom i zawsze się z tego szczycił, aż do dziś...

Statek był chlubą kupców. Należał do niejakiego Amasa, syna Jetera z Jaffy. Był solidnie zrobiony, przystosowany do dalekich wypraw. Zaopatrzony w dwa potężne

żagle i rzędy wiosł po obu stronach burt. Amas często szczyił się przed innymi kupcami swoim statkiem.

Dzieci przybiegały na nabrzeże portowe, żeby tylko popatrzeć na rzędy zacumowanych statków. Wówczas każde z nich „zamawiało”, na jakim to okręcie chciałoby pływać i pod jaką banderą służyć. Często urządały też zabawy w kupców i piratów, jak to dzieci.

Okręt nazwano „Elim” od oazy na pustyni Szur, bo nie godziło się nazwać go imionami ludzkimi, a tym bardziej kobiecymi, jak to było w zwyczaju niektórych kupców z odległych krajów. Tradycja żydowska nie pozwalała na to.

Elim było szczególnym miejscem w historii Izraela. To miejsce symbolizowało wszelką obfitość i pomyślność dla każdego Żyda. Oznaczało oazę pośród ponurego morza piasku pustyni, nad którą było dwanaście źródeł wody i siedemdziesiąt palm. Gdy Izrael wyszedł z Egiptu pod wodzą Mojżesza i szedł przez pustynię, to tu wszyscy znaleźli odpoczynek w czasie trudów wędrówki.

„Elim” był więc chlubą Amasa i jego całej rodziny. Teraz ta chluba wielkiego kupca dryfowała pozbawiona jakiegokolwiek sterowności i możliwości nawigacji. Grotmaszt pękł jak zapalka na dwie części. Olinowanie rwało się jak niteczki, nie mogąc utrzymać ciężaru wciąż napierającego wiatru. Zrefowanie żagli niewiele pomogło. Koła sterowego nie można było utrzymać - obracało się jak szalone na wszystkie strony. Wszędzie panowała nieprzenikniona ciemność.

Wyłynęli z Jaffy w letni miesiąc. Wyrocznia wskazywała, że jest to najbardziej odpowiedni czas do podróżowania i robienia interesów. Zaciągnięto rady u Izby, która była miejscowym medium, a ze zdaniem której liczyli się, i to bardzo, wszyscy kapłani zamieszkujący Jaffę i okolice.

Celem wyprawy miał być odległy Tarszisz w Hiszpanii, o miesiąc drogi przy pomyślnym wietrze.

Właśnie niedawno do Jaffy przybyli kupcy z odległego Moabu, zachęceni niezwykle okazją zrobienia bardzo dobrego interesu. Bowiem wieści rozchodziły się już od dawien dawna, że rzemieślnicy z odległego Tarsziszu wyrabiają niezwykle przedmioty z żelaza i srebra. A ich wyroby znane były w całym starożytnym świecie. Żelazo było niezbędne dla wojska, a srebro - dla możnych. Wieść niosła też i o niezwykle wyrobach z brązu, z którego odlewano dziwaczne przedmioty. Przedmioty te wydobywały przedziwne dźwięki.

Gdy jacyś kupcy przyjeżdżali do miejscowości, mieszkańcy wypytawali ich o wieści ze świata. Wówczas w długie wieczory rozmawiano w bramach miejskich. Wieści te później przekazywano dalej z ust do ust. Zapotrzebowanie na wszelkiego rodzaju wyroby zamorskie było ogromne. W tym też czasie księstwa izraelskie stały się tranzytem dla ludności dalekiego Wschodu. Wielkie karawany przemierzały pustynię w poszukiwaniu najlepszego szlaku handlowego dla swych wypraw. W tym też czasie szczególnie rozwinęły się wielkie miasta Asyrii: Aszur, Niniwa i Kazach. Tranzyt stał się niezwyklej wagi kartą przetargową w stosunku do kampanii wojennych, których nawałnice przetaczały się co rusz ze wszystkich stron. Nadciągał huragan historii, który kończył jeden, a rozpoczynał następny etap.

Kupcy zaczęli organizować się w oddziały kupieckie. Łącząc swoje siły, bezpieczniej realizowali swoje zamysły biznesowe. Często wynajmowano oddziały wojskowe w celu obrony karawan. W tym czasie napady były sprawą nagminną. A brak nadzoru nad bezpieczeństwem kończył się nader tragicznie dla niefrasobliwych kupców, którzy w ten sposób niejednokrotnie tracili dorobek całego życia.

Kupcy z Moabu odnalazłszy w Jaffie Amasa, dobili z nim targu. Razem będą mogli wyruszyć w podróż do Tarszisz, a zyskami się podzielić.

Na statek zaokrętowali się ponadto inni podróżni. Byli wśród nich: Grecy i Kreteńczycy - nie wiedzieć skąd wzięli się w Jaffie, Edomici i Kuszyci, a także Izraelici. Wielu z nich miało wysiąść w Tyrze, aby stamtąd udać się w dalszą drogę do Damaszku. Wielu z nich jechało w interesach, inni zaś podróżowali do wróżbitów, którzy słynęli ze swych przepowiedni, a jeszcze inni nic nie chcieli mówić o celu swojej podróży. Wśród wielu podróżnych był i Jonasz. Resztę stanowiła załoga. Była to zbieranina różnych ludzi, niekoniecznie Żydów. Wszyscy stanowili niesamowitą mieszaninę kultur i narodowości. Jaffa w owym czasie szczyciła się swą tolerancją, nie tylko religijną. Przeżywała ciągle czasy swej świetności. Jej historię wyznaczali wielcy i mali, królowie i normalni ludzie. O Jaffie pisano już na glinianych tabliczkach z Amarny. Kupcy z Jaffy szczycili się, że dlatego tak jest, gdyż Jaffa leży w samym centrum świata. To właśnie tu król Salomon kazał transportować drzewa z Libanu na budowę świątyni w Jerozolimie. Jaffa leżała w odległości około pięćdziesięciu kilometrów od Jerozolimy.

Jeszcze tylko załadowano niezbędny osprzęt i towary kupców oraz uzupełniono zapasy. Wszystko było gotowe do wypłynięcia w morze. Wytoczona trasa biegła wzdłuż wybrzeża rozległej równiny Soranu. Były tu liczne zatoczki, potrzebne do schronienia w razie jakichkolwiek niebezpieczeństw. Dowódca okrętu czekał na pomyślny wiatr od południowego wschodu.

Tego dnia pogoda była wymarzona do rozpoczęcia wyprawy. Wszyscy w dobrych nastrojach, przy dźwiękach lutni, na której grał jeden z muzyków na statku, wyruszyli wreszcie z portu. Żeglarze krzżeli się przy takielunku. Ze wszystkich stron dochodziły radosne okrzyki załogi. Jakby nowe życie wsączyło się na pokład statku. Przedziwny entuzjazm był obecny niemal we wszystkich.

Liczne dzieci, mimo tak wczesnej pory, zgromadziły się na nabrzeżu, wymachując w kierunku statku, z okrzykami żegnali odpływających. Miarowe uderzenia bębna wybijały rytm wiosłowania dla żeglarzy. Statek szybko, acz majestatycznie oddalał się od nabrzeża portowego.

- Niech wszyscy bogowie mają nas w opiece – powiedział Seruja do zgromadzonych przy burcie pozostałych podróżnych.

- Tak, czasy jakieś niespokojne... – dodał inny ze stojących.

- Jeszcze wczoraj nic nie zapowiadało tak spokojnego dnia – kontynuował. – Przepowiednie Izby sprawdzają się. Wywróżyła nam dobry los i pomyślność, która będzie nam niezbędną podczas tej wyprawy...

Zapatrzeni w coraz bardziej oddalającą się linię horyzontu, myśleli o swoich planach, które były związane z tą podróżą. Od tygodni o niczym więcej się nie rozmawiało, jak tylko o tej wyprawie. Wielu opisywało skarby Tarszisz jako jeden z cudów świata.

To zapatrzenie w nabrzeża portowe przerwał donośny głos dowódcy. Wszyscy żeglarze zajęli się stawianiem żagli. Luźne relingi tańczyły na wietrze, wybijając charakterystyczny rytm. Podróżni przyglądali się z boku wprawnym ruchom żeglarzy, którzy byli już zaprawieni w swoim fachu. Wszyscy zachowywali się jak mrówki w mrowisku - każdy znał swoje miejsce i rolę. Każdy z nich wiedział, co ma robić. Bez zbędnych krzyków.

Postawiono żagle, które zaczęły „łapać” wiatr. Spokojny podmuch wypiął je należycie, posuwając „Elim” w głąb morza.

Był spokojny, wietrzny dzień. Słońce dopiero co wstało, ozłacając cały horyzont swym blaskiem. Ptaki radośnie zataczały kręgi ponad żaglami, przekrzykując się nawzajem, jakby chciały radośnie wykrzyczeć dobrą przyszłość.

- Ptaki nad głową to dobry znak Izby – Seruja pokazywał ręką do góry.

- Tak, tak – odpowiedzieli inni.

- Miejmy nadzieję, że szczęśliwie dotrzemy do Tarszisz.

- Ostatnio już nie słyszy się o okrętach fenickich, które napadają na innych - wtrącił się do rozmowy dowódca, który znał te rejony jak nikt inny i potrafił właściwie ocenić wiele zagrożeń.

- Ostatnio – dodał - kupcy zorganizowali wyprawę, zabierając na swe okręty żołnierzy, aby dopaść tych rzezimieszków fenickich, jak ich nazywano.

Rzeczywiście ich poczynania w ostatnich czasach zaczynały być coraz bardziej śmiałe. Napadali niespodziewanie statki kupieckie, wiedząc, że zawierają one drogocenne towary. Najczęściej takie statki były słabo bronione, gdyż nie posiadały wystarczająco dużo broni. Ponadto żaglowce te były duże i ciężkie, wskutek wielości przewożonych towarów. Zaś okręty fenickie były stosunkowo małe i zwinne. Podpływały niespodziewanie, często pod osłoną nocy czy zmroku, czy też wczesnym rankiem, zwłaszcza gdy mgła ograniczała widoczność, a następnie wkradali się na pokład. Wielu dziwiło się, w jaki sposób oni potrafią



odnaleźć zagłowiec wśród tych mroków czy mgły. Dochodziło do tego, że ludzie prześcigali się w domysłach, mówiąc, że pomagają im hydry lub jakieś inne mityczne stwory. Jedno było pewne - że z wielką precyzją podchodzili do swoich ofiar.

Fenicjanie zaś wykorzystywali naturę, którą naśladowali. Obserwowali niebezpieczne zwierzęta, na przykład lwa, w jaki sposób obserwuje swoją ofiarę: podchodzi do niej coraz bliżej, obserwuje jej słabe strony, a potem znienacka atakuje. Oni też długo obserwują swoje ofiary, znajdując ich najsłabsze punkty. Zresztą byli świetnymi żeglarzami i doskonale potrafili orientować się w nawigacji, nawet przy bardzo niesprzyjających warunkach. Potrafili bezbłędnie poruszać się, szczególnie w nocy. Umiejętności tej nabyli u Egipcjan i często ją wykorzystywali. Za czasów króla Salomona, gdy ten budował świątynię Świętemu Bogu w Jerozolimie i sprowadzał drzewa z Libanu, wówczas surowca dostarczali mu Fenicjanie. Drzewa ścinano i wkładano do wody, i tak transportowano do Jaffy. Posiadała też bardzo dużo łodzi i statków, którymi transportowano różne surowce na budowę świątyni. W tych czasach Fenicja stała się potęgą militarną. Od tamtej pory minęło dużo czasu, a lojalność poszczególnych władców Fenicji była bardzo różna wobec swych sąsiadów. Prócz tego był to czas, gdy walczono o wpływy. Organizowano wiele tras tranzytowych, a Fenicjanie chcieli przejąć pełną kontrolę nad żeglugą. Tak więc z jednej strony Asyryjczycy zagrażali Izraelowi od strony lądu, zaś Fenicjanie od strony morza. Dlatego chciano zakończyć dominację tych ostatnich na morzu. Zaczęto organizować dużo wypraw, mających na celu zdziesiątkować flotyllę fenicką. Po kilku porażkach zaczęto szybko się uczyć i na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Od zwycięstwa do zwycięstwa odpierano rzezimieszków fenickich. Stosowano najprzeróżniejsze sposoby, byle tylko osiągnąć zamierzony cel. Dużo dawała świadomość tego, że można walczyć z wrogiem w każdym położeniu, wykorzystując tę samą broń, jaką z nami walczy.

Dominacja Fenicjan na Morzu Śródziemnym stawiała się więc coraz bardziej historyczna niż rzeczywista. Choć oczywiście nigdy nie można bagatelizować swego przeciwnika do końca.

Minęło kilka dni żeglugi. Wszystkie przepowiednie się wypełniały. Pomyślny wiatr południowo-wschodni unosił statek do miejsca jego przeznaczenia. Po drodze minęli kilka pomniejszych łodzi. Nie wpłymano do żadnego portu, chcąc wykorzystać sprzyjający wiatr i nadrobić czas, by trafić jak najszybciej do Tyru. Przez cały ten czas, wietrzna, bezchmurna pogoda zapowiadała tylko same dobre rzeczy. Żeglarze uwijali się codziennie wokół wielkiego masztu, co chwilę coś poprawiając w ożaglowaniu. Inni dbali o porządek na statku, gdyż załadowany był on po brzegi. Nawet na pokładzie przytroczono skrzynie z ładunkiem, gdyż pod pokładem nie było już dla nich miejsca. Przytroczono je grubymi linami, uniemożliwiając jego ewentualne przesunięcia, co by mogło być bardzo groźne dla statku i jego pasażerów.

Podróżni w ciągu dnia byli pod pokładem, szukając cienia, zaś wieczorami wychodzili na pokład, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Jak wrócimy z wyprawy – mówił jeden z kupców z Moabu – to wybuduję sobie gospodę.

- Naprawdę myślisz o tym Eliezerze? Przecież Asyryjczycy od wielu już lat zagrażają Judzie? Ciągłe napadają i grabią. Ostatnio coraz częściej przysyłając swoich zwiadowców.

- Tak, Meszek, oni wysyłają, a my przyjmujemy i jeszcze na tym dobrze wyjdziemy...

- Elieze, przecież ty myślisz tylko o interesie, za nic masz to, co się dzieje na zewnątrz.

- Tak – odpowiedział Eliezer – bo ja skupiam się na tym, co przynosi zysk, a nie na stracie. To jest moja dewiza.

Tego wieczoru długo toczono dyskusję na pokładzie. Po kilka osób rozmawiało ze sobą. Każdy dzielił się z rozmówcami swymi poglądami i wizją najbliższych czasów.

- Wszyscy ostatnio szykują się do wojny, ćwiczą się, miasta organizują się, naprawiają mury, sposobią spichlerze.

- Nawet podczas największych prób wrogowie stają jeden przy drugim, aby brać udział w obronie. Wojna jak widać ma swoje dobre strony.

- Co też, wojna jest zawsze złem. I absolutnie nie ma w niej nic dobrego. Bzdurą jest upatrywać jakieś dobre strony w tym strasznym stanie rzeczy. Chyba że mówimy tu o jakiejś niegodziwości.

- Czyż Bóg nie może wyrwać nas z tej próby obronną ręką?

- Może i może, tylko że karze nas za nasze niegodziwości i bluźnierstwa.

- Stale straszycie nas srogim Bogiem, który nie ma nic innego do roboty, jak tylko karać biednych ludzi.

- To nie straszenie, a następstwa naszej niewierności.

- To może czas zacząć od samych siebie, a nie wytykać grzechy innych.

Dyskusja stawała się coraz bardziej żywa, czasem przeradzała się w przekrzykiwania, aż trzeba było co poniektórych podróżnych uspokajać. Przy takich konwersacjach zdecydowanie czas szybciej płynął i podróż nie była tak monotonna.

W innej grupie rozmawiano o innych sprawach.

- Często przypatruję się gwiazdom i pytam się sam siebie, czy istnieje życie jeszcze gdzieś indziej niż tu, na Ziemi?

- Na pewno nie, Bóg stworzył je tylko tu, na Ziemi, i niemożliwe jest, aby cokolwiek było innego poza nią!

- Według niektórych plemion fenickich, życie przyszło na naszą planetę z innej planety. Ponoć tam istnieje życie i zawsze tam było. Oni wierzą, że po śmierci znów wędrujemy na tę planetę i tam odradzamy się na nowo.

- Bzdura! Jak można wierzyć w takie bzdury?! Przecież jest tylko to, co widzimy, czego możemy dotknąć, wszystko inne jest fikcją, w którą inni chcą, aby w nią wierzyć.

Jeszcze gdzie indziej rozmawiało dwu jegomości. Zapewne nie chcieli, aby inni słyszeli, więc mówili ściszym głosem, pochyleni nad sobą. Rozmawiali i zastanawiali się nad tym, iż często w ich życiu przydarzają się różne dziwne rzeczy i mają wrażenie, że już kiedyś je przeżyli i ich doświadczyli. Dzielili się swoimi spostrzeżeniami co do tego. Jakby uświadamiali sobie, że w innym życiu już coś takiego przeżywali. To bardzo intrygowało i absorbowało ich obu.

Atmosfera na statku stawała się coraz bardziej przyjazna, poza czasowym zacietrzewieniem rozmówców podczas konwersacji. Coraz bardziej zaprzyjaźniali się ze sobą. Opowiadaniom i historiom nie było końca, każdy miał i chciał coś opowiedzieć od siebie.

- Widzicie tych Żydów? – gestem głowy pokazywał Tobo. – Pewnie płyną do Tarszysu na pielgrzymkę.

- Co ty wiesz? To kupcy – przerwał mu ktoś inny. – Przecież pielgrzymi nie wożą ze sobą takich skrzyń i pakunków.

- To na pewno są wota ofiarne dla Asztar – rozgniewany Tobo nie dawał za wygraną. – Jej kult przyćmiewa teraz wszystkie inne...

- Nie tylko wielka Asztar jest czczona. W Tarszysu jest wiele innych dostojnych świątyń innych bogów – wtrącił się do rozmowy Bigus.

- Dostojny Bigusie, czy byłeś już wcześniej w Tarszysu? – z niedowierzaniem w głosie zapytał Tobo.

- I to nie jeden raz. Jeśli chcecie, opowiem wam nieco o tych cudach, jakie tam są...

Wszyscy znacząco przytaknęli. Opowieść była długa, tak jak długą wydawała się jeszcze droga do przebycia. Bigus opowiadał o niezwykłościach Tarszysu i o niezwykłych ludziach tam zamieszkujących. Wszystko zdawało się jakieś wielkie i wspaniałe. Zamieszkiwali tam ludzie roślejsi, szczycący się swoją siłą. Walczyli z bestiami. Im bardziej dostojny Bigus opowiadał o odległych cudach, tym bardziej ciekawość i podziw rosły u obecnych.

- Dostojny Bigusie, udajesz się do Tarszysu?

- Nie, tym razem tam nie płynę – odpowiedział Bigus – lecz do Tyru, a potem udaję się do Asyrii.

- A czy to prawda, że w Niniwie jest złota świątynia Isztar? – nie dawał za wygraną Tobo.

Okazało się, że dostojny Bigus wiele podróżował i wiele widział. A jego opowieści przyciągały wielu podróżnych. Zaczął i tym razem opowiadać o wspaniałościach Niniwy i innych miast asyryjskich.

Tylko jeden z podróżnych stał zawsze na uboczu. Ciągłe przestraszony rozglądał się wciąż na boki, z nikim nie chciał rozmawiać. Najczęściej siedział całymi dniami pod pokładem, a wieczorami samotnie stał na rufie. Któregoś dnia Eliezer zapytał pozostałych:

- Kto to jest?

- To Jonasz, syn Amittaja z Gat ha-Chefer, tylko tyle o nim wiadomo – odpowiedział Bigus. – Jakiś dziwak, pewnie mu odbiło.

- Słyszałem – wtrącił się Tobo – że uciekł od żony, a ta ściga go ze swoim kochankiem, aby go zgładzić.

- Pewnie nabroił, to teraz musi pokutować...

Wszyscy obserwowali Jonasza, który właśnie wyszedł na pokład. Był niewielki, około 160 cm wzrostu, niepozorny, z nie dość bujnym zarostem - prezentował się raczej niedbale na tle innych podróżnych. Nic nie było w nim szczególnego, co mogłoby zwrócić czyjąś uwagę. Ta opowieść widać przekonała wszystkich, gdyż wyglądał na bardzo zmieszanego i przestraszonego.

Któregoś dnia podszedł do niego lewi Raben i zagadnął:

- Nazywasz się Jonasz?

- Tak - odparł tamten, rozglądając się nerwowo, jakby bał się, że ktoś jeszcze usłyszy jego imię.

- Powiedz, Jonaszu, czy to prawda, że ukrywasz się przed swoją żoną?

- Ależ skąd – zachnął się Jonasz. – Ja nie mam żony...

- To może przed kochanką?

- Ani przed kochanką, ani przed... nie mam nikogo – stanowczo zaprotestował. Zaczzerwieniał się i popadł w zadumę.

Przypomniawszy sobie dziewczynę, którą lata temu poznał, a której nie widział już od dawna. Zresztą, jak się dowiedział, ona już była zamężna. Ale przecież nikt o tym nie mógł wiedzieć, gdyż była to jego najszybsza tajemnica. Zresztą nic nie mógł z tym zrobić.

To przypomnienie spowodowało w nim na nowo ból i tęsknotę za tymi chwilami, które były. One były - pogodził się z tym, składając je na ołtarzu cierpienia. Tak musiało być i już. Nie dane mu było pokochać kobietę do końca. I z tego musiał zrezygnować. Zresztą jego całe życie było naznaczone, jakby napiętnowane cierpieniem i pragnieniami, które musiał porzucić. To go bardzo bolało. Zastanawiał się, co jeszcze przyjdzie mu poświęcić. I tak oddał już i poświęcił dla tego, któremu służył, wszystko, co posiadał, a nawet więcej. Teraz musi dźwigać ten balast. To wywoływało w nim odruchy goryczy i zgorzknienia.

Całe życie przychodziło mu z największym trudem. Chciał być kimś i coś w życiu osiągnąć, a przez cały czas wszystko, cokolwiek chciał uczynić, przychodziło mu z największym wysiłkiem. Tak jakby wciąż miał pod górę. A tu jeszcze jakieś dziwaczne podejrzenia o ucieczkę przed kobietą. Cóż za pomysł, że ucieka przed kobietą?

Stali obaj wpatrzeni w horyzont. Lewi chciał poznać tajemniczą osobę, która intrygowała go coraz bardziej.

Im bardziej Jonasz zastanawiał się, dlaczego lewi powiedział mu to, co powiedział, tym bardziej zaczynało go to niepokoić. Właściwie już tyle lat ucieka przed tą kobietą - tą, którą widział zaledwie przez chwilę - że zaczynał wierzyć, iż jest ona tylko

wynikiem jego myślenia, nierealnym wytworem jego umysłu. Dlaczego właśnie teraz o niej sobie przypomniał? Przecież dawno już o niej nie myślał. Starał się o niej zapomnieć, dlatego że czuł się przez nią zraniony i odrzucony. To było bardzo dziwne.

- Skąd pochodzisz Jonaszu? – dopytywał się lewi.

Jonasz spojrział na lewiego, jakby nagle doznał olśnienia. Wyprostował się i zaczął odpowiadać. Widać miał już dość samotności i potrzebował świeżego, morskiego powietrza, tak samo jak rozmowy z kimś mu życzliwym.

- Pochodzę z Gat ha-Chefer, niedaleko Tyberiady.

- To cóż zatem robiłeś w Jaffie?

Jonasz wpatrywał się gdzieś w odległy punkt horyzontu, jakby szukał w nim natchnienia. Wyrzucił coś za burtę, co do tej pory skrywał w ręce. Milczał, śledząc jednocześnie oddalający się przedmiot, który unosił się na powierzchni wody. Stał tak przez chwilę, po czym zwrócił się w stronę lewiego:

- Powiedz, lewi, czemu Bóg nie zostawia człowiekowi wyboru? – spytał niespodziewanie.

To pytanie zupełnie zaskoczyło lewiego, który nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Łagodnie zwrócił się do swego rozmówcy:

- Wiesz, Jonaszu - rzekł z rozmysłem, jakby ważył każde z wypowiedzianych słów - człowiek ma zawsze wolną wolę. Zawsze, do końca. Tylko nie zawsze potrafi z niej zrobić dobry użytek.

Jonasz nie zważał na to, co przed chwilą usłyszał od Rabena.

- Czemu dzisiaj muszę być tułaczem, bez domu, bez ojczyzny, bez przyszłości...

- To jest twój wybór, synu – spokojnie odpowiadał Raben. – Bóg do niczego cię nie zmusza, to ty sam się zmuszasz. Bo nie chcesz znaleźć odpowiedzi w sobie.

- Nie rozumiem wcale Boga – mówił Jonasz.

- Ty Go nigdy nie zrozumiesz, póki nie zrozumiesz siebie samego. Jeszcze tylko przez trzy dni Go będziesz szukał, a On odpowie ci...

Jonasz przypomniał sobie podobne rozmowy, które prowadził bardzo dawno temu. Czasami myślał, że rozmawia sam ze sobą. Ale słyszał głos. Do końca nie wiedział, kto mógłby być tym głosem, który słyszał. Często myślał, że to jego wyobraźnia podpowiadała mu przeróżne rzeczy. Ale przecież ten głos brzmiał bardzo znajomo. Często przychodziły odpowiedzi, których nigdy by się nie domyślił ani spodziewał.

Czuł się coraz bardziej dziwnie w tej rozmowie z lewim. Nagle znalazł rozwiązanie swego problemu. Jakby gwiazda spadła z nieba, nagle, niespodziewanie. To go poraziło. Mógłby przysiąc, że ten głos już kiedyś słyszał. I zna go doskonale. Tak, na pewno.

- Powiedz lewi, jakie jest twoje imię.

- Lewi Raben.

Lewi był postawnym, barczystym mężczyzną. Ubrany w jasną płócienną tunikę, z oznaczeniem lewity. Stał na tle zachodzącego słońca. Ten widok porażał Jonasza jeszcze bardziej. Wygląd był rzeczywiście niezwykły i jakiś dziwnie znajomy.

- To na pewno tylko zbieg okoliczności – pomyślał.

To, co usłyszał, poruszyło go do głębi.

- Nic nie jest zbiegiem okoliczności, mój drogi... – usłyszał w odpowiedzi, tak jakby lewi znał wszystkie myśli Jonasza. Poczuł się bardzo niezręcznie, gdyż ktoś

wiedział o nim więcej niż on sam. Gwałtownym ruchem ręki przerwał Rabenowi, jakby chciał odciąć się od swoich wspomnień.

Słońce powoli zachodziło, pozostali podróżni zaczynali powoli schodzić pod pokład. Wiał przejmujący, chłodny wiatr. Przenikał aż do kości. Jonasz był coraz bardziej zaintrygowany rozmową. Czuł intuicyjnie, że podczas niej może dużo rzeczy być wyjaśnionych i w końcu będzie mógł uwolnić się od przykrego ciężaru, który nosił już od tak dawna. A w ostatnim czasie stał się coraz bardziej nie do zniesienia. Prześladował go wszędzie, gdzie tylko postawił swą stopę. Był obecny w każdej chwili jego życia. Chodził za nim krok w krok, nigdy go nie opuszczając. Czuł się już bardzo zmęczony. A dzisiejsza rozmowa mogła go od tego uwolnić.

Chciał zadać pytanie: czemu to on? Czemu to wszystko go spotyka? Ale coś go powstrzymywało.

- Przecież jestem słaby... – zdołał tylko wyszeptać.

- Posłuchaj synu. Bóg nie patrzy na niczyje zdolności. Bóg nie patrzy na niczyje możliwości. Bóg patrzy zawsze na serce człowieka – utkwiał swój wzrok w Jonaszu, jakby chciał go przeszyć na wylot. – Dlatego Bóg wybiera nie takich, którzy nam się wydają wystarczający, ma zupełnie inne kryterium.

- Stawiasz ciągle bardzo dużo pytań Bogu - mówił dalej lewi - a każdą czynność czymś warunkujesz. Przy czym twoje niedowierzania wpakowują cię ciągle w wieczne stany lękowe. Boisz się samego siebie, a cóż dopiero innych, nie mówiąc już o Bogu.

- Ale jak ja mogę... – zaczął jękać się Jonasz.

- Przed narodzinami na Ziemi każda dusza staje przed Bogiem, który pokazuje jej całe życie. Wówczas ona przyjmuje je lub nie. Może obrać swoją drogę i dokonać swego wyboru, wówczas nigdy nie będzie szczęśliwa, lub... – tu zawiesił głos, jakby oczekiwał, że jego rozmówca złapie i rozpozna każdy szelest słów – ...lub zgodzi się na to, co Bóg przygotował. Może też obrać jeszcze bardziej odpowiedzialną drogę.

Jonasz był pod bardzo wielkim wrażeniem tego, co usłyszał.

- A co ja... – mówił ledwie słyszalnym głosem, jękając się coraz bardziej – wybrałem, przecież nic z tego nie rozumiem...

- Obrałeś drogę odpowiedzialną. Sam ją wybrałeś, a teraz licytujesz się ze swoim Stwórcą – powiedział Raben.

- Przecież nic nie pamiętam.

- Nieważne czy pamiętasz, czy nie. Ważne jest to, czy odnajdziesz swoją drogę. A odnajdziesz ją wówczas, gdy zaczniesz jej szukać w sobie. Gdy zaczniesz być uważnym na swojej drodze życia, wówczas zaczniesz słyszeć cichy głos Najwyższego. On mówi do ciebie przez cały czas.

Jonasz stał jak zamroczony. To, co usłyszał, zburzyło jego cały dotychczasowy spokój, który tak starannie sobie wypracował. To dotyczyło go do głębi. Jednocześnie czuł się cały obnażony. Jakby był prześwietlony na wylot. Dziwne, że go ta sytuacja nie gniewała. Jeszcze miesiąc temu pewnie przyłożyłby - bez względu na to, kto by to był - kijem po plecach śmiałkowi, który tak by mu się naraził. A tu, stał zupełnie bezbronny, bez żadnych argumentów, zupełnie porażony. To, co mówił lewi, było wstrzelone dokładnie w sam środek. Czuł, jakby anioł boży nawiedził go osobiście, jak kiedyś za młodu.

- Co to za droga odpowiedzialna? – pytał Jonasz.

- Tę drogę znasz. Jest ona ukryta w twoim wnętrzu – odpowiedział lewi. – Jest to droga, którą zgodziłeś się iść, by stać się wysłannikiem...

Po chwili namysłu dodał:

- ...bożym wysłannikiem. A teraz przed nią uciekasz. Pamiętaj, że przed Bogiem nie uciekniesz nigdy. Gdziekolwiek będziesz, On zawsze cię pochwyci. To dlatego jesteś na tym statku...

Tego już nie mógł dłużej słuchać.

Właśnie z tego powodu zjawił się w Jaffie i dokładnie z tego też powodu udał się na ten statek. Jest tu, żeby już więcej nie słyszeć tego bełkotania o bożym przeznaczeniu. Miał już dość demagogii i ciągłych oczekiwań, jakie w jego stronę kierowali inni. Już dość! Chciał zakończyć tę farsę i żenadę. Nie chciał już nigdy więcej słyszeć tego głosu.

Teraz żałował, że dał się wciągnąć temu nieznajomemu w tę rozmowę. Miał jakieś nadzieje, że usłyszy w końcu to, co chce usłyszeć. A tu...

- Gdzie do licha mam się skryć, gdzie schować, żeby już nigdy tego nie słyszeć? – szeptał do siebie, coraz szybciej oddalając się od nieproszonego gościa. Prawie uciekał, przewracając po drodze jakiś tobołek. Słyszał tylko swoje myśli, które coraz szybciej przelewały się przez jego głowę.

Jeszcze przed chwilą wiązał z tą osobą jakieś plany pomocy. Teraz nagle lewi stał się dla niego wrogiem. Nie mógł więcej znieść tej rozmowy, jego spojrzeń, jego głosu...

Z jednej strony pochłaniała go ta rozmowa coraz bardziej, z drugiej zaś czuł się znowu zagrożony. Szybkim krokiem odszedł. Uciekł. Zawsze uciekał, kiedy tylko czuł zagrożenie. Ucieczka była dla niego najpewniejszym rozwiązaniem i jedynym z możliwych.

W mroku znalazł swoje posłanie. Nie zdawał sobie sprawy, że rozmowa ta przebiegała tak długo. Teraz usłyszał zmianę nocnej wachty. Było już bardzo późno. Dla niego jakby czas stanął w miejscu, dla innych płynął zaś nieubłaganie.

Rzucił się na posłanie, nie mając nawet siły czymkolwiek się nakryć. Schował swą głowę w dłoniach i płakał.

- Panie, co mam zrobić, abyś dał mi spokój? – powtarzał w myślach. – Co mam zrobić?!

Długo nie mógł zasnąć. Ze wszystkich stron słychać było miarowe oddychanie i chrapanie. Ludzie spali.

- Ten głos, ten głos... – szeptał do siebie – ja już go gdzieś słyszałem. Powiedz, kim jesteś? I gdzie jesteś we mnie umiejscowiony?

Nie czekając wcale na odpowiedź, po raz tysięczny powtarzał sobie, że to tylko jego chora wyobraźnia mówi do niego. Przez nią teraz musi podróżować z dala od swego domu, zamiast być w nim.

- Boże, mam czterdzieści lat – modlił się do Boga. – Do niczego w swoim życiu nie doszedłem, nic nie osiągnąłem. To, co mam, wszystko odziedziczyłem po moim ojcu. Dziś sobie uzmysłowiłem, że tak naprawdę to nie mam nic. Zupełnie nic. Jestem skończony...

Gorzko zapłakał, aż zaniósł się od łkania. Pragnął to skryć, aby przypadkiem nikt z podróżnych go nie usłyszał. Długi czas jeszcze tak leżał. Nie mógł sobie znaleźć nigdzie miejsca. Był już znużony ucieczkami. Stałym uciekaniem. Zaczął się bać nawet własnego cienia. Wszystko go napawało lękiem i strachem. Bał się szczególnie ludzi, aby nie wydało się to, kim jest i co zrobił w Gat ha-Chefer. Nosił to w swoim sercu i wiedział, że nadejdzie czas, kiedy będzie musiał to odpokutować. Czyżby nadchodził ten czas? Był już zmęczony życiem i tym, co go ciągle spotykało.

- Pamiętasz? – usłyszał głos. – Jonaszu, pamiętasz...

Usiadł nagle na posłaniu, rozglądając się wokół przerażony... Zaciśnął rękoma uszy, aby już nigdy więcej nie słyszeć tego głosu. Ucisnął je mocno, aż zaszumiało mu w głowie.

- Pamiętasz? – usłyszał jeszcze bardziej zdecydowany głos. – Jonaszu, pamiętasz...

Tak jakby ktoś zupełnie blisko mówił mu wyraźnie do ucha. Ale przecież miał je zakryte, a to, co słyszał, było wyraźne, za wyraźne. To musiało być w nim. Ten głos był w nim. Był to ten sam głos, który jeszcze przed chwilą słyszał na pokładzie statku. Był to jednocześnie ten sam głos, który słyszał w dzieciństwie. Ten sam i dziś. To był ten sam głos! Niesłyszalny dla uszu, ale słyszalny w środku. Rozpoznałby go wszędzie. Wiedział, że już nie może dalej uciekać. Nadszedł w końcu kres jego ucieczki. Chciał, aby już wszystko było za nim.

Przypomniawszy mu się dom jego dziadka w okolicach Tyberiady. Dziadek miał tam rozległą plantację oliwek. Uwielbiał spędzać czas u niego; szczególnie podczas zbiorów.

Wówczas w ogrodach było bardzo dużo ludzi, a on sam także miał dużo zadań do wykonania, które dziadek mu powierzał. Wówczas czuł się kimś bardzo ważnym.



Teraz, nie wiadomo czemu, poczuł tamtą atmosferę i tamte zapachy. Ten aromat koszy pełnych oliwek czuł do dziś. To było przedziwne uczucie.

W ogrodzie miał swój domek do zabaw, zbudowany z patyków, pokryty różnymi derkami i gałązkami. Często chował się do niego przed skwarem słońca, które raziło w południe. Tam cień dawał przyjemne wytchnienie. Nigdy nie miał przyjaciół, choć czasami bawił się z dziećmi z okolicznych plantacji. Jednak większość czasu spędzał w samotności i na samotnych zabawach.

Raz, gdy miał około pięciu lat, doznał niesamowitego przeżycia, które zmieniło jego postrzeganie rzeczywistości na całe lata. Gdy któregoś dnia schował się przed żarem słońca, przed wejściem do jego domku stanął wysoki mężczyzna, a za jego plecami nic nie widział, gdyż silnie świeciło słońce. Nie mógł patrzeć w jego stronę, bo słońce zalewało oczy swym niezwykle blaskiem. Postać ta niezwykle jaśniała. Nie mógł dojrzeć oblicza. Widział tylko same kontury postaci.

Po jakimś czasie postać znikła. Stała naprzeciw niego. Nie mówiła nic, ale Jonasz wiedział, co chciała powiedzieć, tak jakby komunikowała się z nim bez otwierania ust, bez wypowiedzenia ani jednego słowa. To była niezwykle komunikacja, niezwykle przekaz. Właściwie nie bał się tej postaci. Nie myślał nawet, żeby uciekać czy krzyczeć. Czuł się dobrze przy tej osobie. Nie mógł wszystkiego zrozumieć, ale zapamiętał ten głos i to, co mu przekazywał. Nigdy więcej nie widział tej postaci.

Wówczas pobiegł do swego dziadka z wielkim krzykiem:

- Dziadku, dziadku! Widziałem anioła!

- Jakiego anioła? – ze zdziwieniem zapytał dziadek. – Chodź, opowiedz mi dokładnie, co widziałeś.

Dziadek wziął go na kolana i mocno przytulił do siebie. On opowiedział całe to zdarzenie. Dziadek z wielkim przejęciem powiedział:

- Jeśli widziałeś anioła, to znak, że Bóg ma wobec ciebie jakiś plan. I chce ciebie użyć.

Od tego dnia mały Jonasz był pewien, że spotkał anioła. Nie rozumiał wówczas tego zdarzenia. Tak jak nie rozumiał anielskiego przekazu. I choć nie słyszał żadnego głosu, jednak ten głos bardzo mocno wrył mu się w pamięć. Inni, gdy opowiadał im o tym, wmawiali mu, że to było tylko przywidzenie. Większość zaś śmiała się z tego. Dlatego przestał o tym komukolwiek opowiadać i czuł się bardzo niezręcznie, gdy miał to zrobić.

Jedynie dziadek stał się jego powiernikiem. Choć nie o wszystkim mu powiedział, tak jakby coś chciał zachować dla siebie. Wiedział, że jest to tajemnica jego życia, dana tylko dla niego.

Po kilku dniach od tego niezwykłego zdarzenia wydarzyło się podobne - również niezwykle, co zaskakujące – drugie, dziwne spotkanie. Gdy zasypiał, poczuł na swojej głowie czyjąś rękę. Gdy otworzył oczy, nikogo nie było. Ale czuł dokładnie, że ktoś jest obok i nachyla się nad nim. Był trochę przestraszony, ale dziwne ciepło spływało po jego głowie i całym jego ciele. To napawało go słodyczą.

Jonasz miał jedno wielkie ograniczenie - tak przynajmniej mu się wtedy wydawało – jękał się. To powodowało, że często czuł się bardzo nieswojo wśród rówieśników. Bardzo go to onieśmielało i deprymowało. Powodowało, że czuł się kimś gorszym. Nie rozumiał tej przypadłości i nie chciał jej zrozumieć, gdyż zdawała się być dla niego kulą u nogi. W miarę dorastania zaczęła mu ona ciążyć coraz bardziej. Miał problemy w komunikacji z innymi. Wszelka praca, o jakiej marzył, była dla niego nie do osiągnięcia. Tak naprawdę, czuł się wśród innych jak niepełny - myślał o tym jak o swoim kalectwie. Często zadawał pytania Bogu:

- Panie, dlaczego mnie to spotkało?

Jednak nigdy nie otrzymał odpowiedzi. Czasami próbował sam siebie pocieszyć, ale to starczało na krótki czas. Potem znów przychodziła nostalgia i rozgoryczenie.

Po wielu latach, gdy był już mężczyzną w sile wieku, postrzegał siebie jako kogoś bardzo przeciętnego. Często myślał o swoim życiu.

Nie chciał być pasterzem owiec jak jego ojciec. Wszystko to, co miał dziadek, zostało złupione i splądrowane przez zaciężne wojsko asyryjskie, a plantacja zrównana z ziemią. Asyryjczycy coraz śmielej sobie poczynali, często zapuszczając się w głąb Izraela.

Jonasz miał inne plany co do swojej przyszłości. Marzył o dalekich, kupieckich wyprawach. O tym, jak zdobędzie wielki majątek i jak będzie kimś znaczącym, kogo wszyscy będą szanowali.

Często uciekał do szałasu, w okoliczne gęstwiny, które tak dobrze znał. Nie chciał być tak jak inni – religijnym fanatykiem, to go śmieszyło. Wolał szukać bycia z Bogiem sam na sam. Synagoga nie była dla niego miejscem spotkania z Żywym.

Często wyobrażał sobie, jak rozmawia z Bogiem. W swoich myślach układał dialogi. Zastanawiał się, co Bóg miałby do powiedzenia w tej czy innej sprawie. Czasem te myśli nabierały niesamowicie ciekawego rozmachu rozmowy, a jej efekty często go zaskakiwały. W tych rozmowach poznawał nie tylko samego siebie, ale też i samego Boga. Tak przynajmniej mu się wydawało.

Po jakimś czasie odkrył, że nie rozmawia z samym Bogiem, lecz ze swym opiekunem duchowym – aniołem. To on przekazywał mu wiele z mądrości.

Anioł był zawsze przy nim obecny, zawsze gotowy pomóc, gdy przychodziła taka potrzeba.

- Dlaczego jestem tak drogi Bogu? – pytał swego duchowego opiekuna.

Prawie jednocześnie pojawiały się słowa, które zaczęły układać się w jego myślach.

- Bóg ma upodobanie w każdym, kto żyje według jego woli. Jeżeli będziesz zważał na Jego drogi i na Jego wolę, wówczas będziesz tym, kto jest mu posłuszny.

- Zawsze szukałem woli Bożej... – dalej kontynuował tę niezwykle rozmowę w swoich myślach – ale nigdy nie byłem pewien, czy tego oczekuje ode mnie Bóg?

- Najczęściej wolał Bożą nazywałeś swoje plany i aspiracje. Dlatego stale byłeś niepewny, czy jesteś poddany Bogu.

- A czego oczekiwałeś od Boga? – głos domagał się odpowiedzi. – W gruncie rzeczy bardziej szukałeś siebie niż Boga.

- To prawda... masz rację...

To go zastanowiło. Często wymuszał na Bogu swoją wolę, a potem miał pretensje do Niego, że go nie wysłuchuje. Im bardziej wsłuchiwał się w ten przedziwny głos, tym więcej miał światła w sobie. Nie potrafił tego w żaden sposób wytłumaczyć. Nigdy wśród ludzi nie czuł się tak swobodnie jak tu. Mógł mówić o swoich wszystkich bolączkach i wiedział, że nie będzie wyśmiany. Tu wcale nie przeszkadzała mu jego niepełnosprawność - jak zwykł ją nazywać. Czuł się bezpiecznie, inaczej niż wśród ludzi. Z nikim nie rozmawiał o tych rozmowach, nawet z dziadkiem. Zresztą nie wiedział, jak innym o tym opowiadać. Nie chciał uchodzić za dziwaka. Bał się, że takim go widzą inni. Starał się być innym, niż był w rzeczywistości, ale coraz gorzej się z tym czuł. Dlatego dla nabrania równowagi coraz częściej poszukiwał samotności.

Coraz bardziej zastanawiał się nad sobą i nad swoim życiem. A im bardziej się zastanawiał, tym więcej miał pytań i wątpliwości - jak im bardziej idzie się w las, tym więcej napotyka się drzew.

Nie pociągało go życie, które wiedli inni. Zawsze pociągała go inność. Jednak bez ludzi też czuł się źle. Wprawdzie stronił od biesiad i hulaszczego trybu życia, ale lubił rozmawiać z innymi. Często zadawał różne dziwne pytania, na które słyszał jedną odpowiedź:

- Ty jesteś jakiś stuknięty, bądź normalny, wyluzuj się. Jutro nie istnieje. Jest dziś i korzystaj z tego. Zostaw swoje mrzonki. Użyj sobie, przestań wciąż zadawać pytania bez odpowiedzi. Na to przyjdzie czas, gdy będziesz stary i nic innego nie będziesz miał do roboty.

Nie chciał być postrzegany jako dziwak, ale nie za bardzo potrafił sobie odpowiedzieć na wszystkie pytania. A odpowiedzi domagało się jego wnętrze.

Czasami przyzywał swego opiekuna duchowego i ze łzami w oczach pytał go:

- Czemu wszyscy uważają mnie za dziwaka? Nie rozumiem tego. Zadaję pytania, na które nikt nie może mi odpowiedzieć.

- Czemu chcesz zrozumieć innych, nie rozumiejąc siebie? - usłyszał w odpowiedzi.  
- Zaczynaj rozumieć siebie.

Poczuł się dotknięty. Czyżby i jego przewodnik - tak zaczął go nazywać - nie rozumiał tego, co się z nim dzieje.

- Czego się spodziewałeś po mnie? - usłyszał w odpowiedzi, jakby przewodnik znał jego wszystkie myśli. - Że będę cię głaskał?

- Ja chcę tylko zrozumienia! Żeby mnie ktoś kiedyś zrozumiał! - z wielkim żalem w głosie, wydusił to z siebie Jonasz. - Czy to jest tak wiele?

Nienawidził takich chwil, kiedy musiał zebrać o pocieszenie. Znikąd pomocy, zewsząd chłód. Po pewnym czasie przestał przywoływać już swego opiekuna. Nie chciał być ciągle przez niego strofowany i karcony. Czasami zazdrościł innym, że nie mieli takich problemów jak on. Mogli wyłączyć się, zapomnieć, uciec i nie mieć tej wciąż ciążyącej świadomości. Chciał nie myśleć. Poddać się takiemu bezmyślnemu życiu, ale im bardziej próbował, tym bardziej czuł pustkę i rozdarcie wewnętrzne. Często żałował, że poznał to, co dla wielu ludzi wciąż było zakryte - że rozmawiał z duchowym posłańcem. Jednak z czasem coraz bardziej był pewien, że posłaniec jest jedynie wymysłem jego chorej wyobraźni. Tym bardziej, że jego najbliżsi stale go o tym zapewniali.

- Z ciebie nigdy nic dobrego nie było i nic dobrego nie będzie... - głos ojca ciągle brzmiał w jego uszach.

- Musisz się leczyć na nogi, bo na głowę już jest stanowczo za późno.

Dałby dużo, aby stać się jak inni.

Właściwie nigdy nie miał żadnego przyjaciela. Z nikim tak naprawdę się nie przyjaźnił. Bał się ludzi. To dziwne, ale często myślał, że jedynym jego przyjacielem mogłaby być Aisa, którą znał bardzo krótko. Ale nie dane mu było się o tym do końca przekonać. Przecież chcąc służyć Bogu, nie mógł mieć żadnych ziemskich przyjaciół, tym bardziej kobiety. Tak mu się wydawało. Musiał dokonać wyboru. Chyba

najtrudniejszego w swoim życiu. Nie wiedział tylko, że wybierając przyjaźń z Bogiem, wybierze ucieczkę od przyjaźni z człowiekiem.

Czasami próbował naśladować innych. Zaczynał broić i psocić jak inni, byleby tylko znaleźć przychylność w ich oczach. Ale zawsze po takich wydarzeniach czuł się podle. Jego sumienie nie tolerowało jednak takiego zachowania. Chciał się nawet nauczyć pić wino, tak jak inni, i upijać się nim. Jednak jego organizm nie tolerował alkoholu. Często śmiali się z niego.

- Jon, ty jesteś jak nazyrejczyk<sup>1</sup>. Powinieneś pić jedynie wodę... ha, ha...

Nie czuł się nigdy nazyrejczykiem, chociaż prowadził bardzo podobny tryb życia. Po pewnym czasie wiedział już na pewno, że nie może się upodabniać do innych. Ma swoją własną drogę życia. A droga każdego człowieka jest inna i należy tylko do niego. Nie mógł nikogo i niczego naśladować. To, co mógł jedynie zrobić, to spełnić swoje wewnętrzne pragnienia - wewnętrzne głosy, jak je czasami nazywał. Chciał bardzo pomagać innym, ale inni nie za bardzo chcieli jego pomocy. Chciał być mocą Pana. Pragnął, aby Bóg przez niego działał, aby mógł czynić cuda, tak jak Eliasz czy Elizeusz. Chciał uzdrawiać innych. Uzdrawiać ich ciała i dusze. Nawet próbował to robić, ale nic z tego nie wychodziło. Próbował modlić się i przyzywać Imienia Pana, który leczy. Efekt tych zabiegów był raczej odwrotny i opłakany: osoba, nad którą się modlił, umierała. Nikt nie wyzdrowiał. A on popadał w coraz mroczniejsze przygnębienie.

- Panie – powtarzał czasem – czy Ty nie chcesz, abym Ci służył?

Przecież ma szczere serce do tego, aby służyć Bogu. A Bóg nie chce się nim posłużyć. Myślał często, że on na miejscu Boga chętnie wykorzystałby czyjaś gorliwość i nim się posłużył, aby inni mogli zobaczyć, jak Bóg jest wielki. Ale widać Bóg ma inne plany. Nie rozumiał tego, ale ciągle coś w nim mówiło i szukało Boga.

Mijały dni, miesiące, lata. W międzyczasie przybliżył się do ludzi religijnych. Często przebywał w synagodze, dużo rozmawiał z ludźmi. Czuł się w końcu komuś potrzebny. Starał się być tak jak oni, religijni przywódcy. Chciał się im przypodobać, a jednocześnie wiedział, że jest to możliwe tylko wówczas, gdy stanie się jednym z nich. To zaczęło mu po części imponować. Ta droga była mu bardziej bliska niż poprzednia.

Ale im bardziej zgłębiał Święte Księgi, tym bardziej czuł się niewystarczający, tak jakby ubranie, które nosił, było za ciasne. Myślał, że oto w końcu odnalazł swoją drogę i był z niej zadowolony. Ale z drugiej strony drażniła go hipokryzja innych ludzi. Jeszcze większym odkryciem było dla niego to, iż tak naprawdę sam jest hipokrytą. To, co drażniło go u innych, tak naprawdę było w nim. I to sprawiało, że sam nie mógł tego znieść.

- Czyżby było tego tak wiele we mnie? – pytał sam siebie.

To pytanie zostawiał ciągle bez odpowiedzi, jakby chciał ciągle usprawiedliwiać siebie i swą indolencję.

---

<sup>1</sup>Nazyrejczyk – osoba związana z Bogiem przez ślub polegający na powstrzymywaniu się od picia wina i strzyżenia włosów (por. Lb. 6,1-21).

Jonasz często zapuszczał się w okolice jeziora Kineret, aby być sam, z dala od ludzkich spojrzeń i ludzkiego gadania. Tam odnalazł pustelnika, który żył samotnie w jednej z grot. Lubił tam zachodzić, aby z nim rozmawiać. Przynosił mu czasami trochę pożywienia.

Któregoś dnia pustelnik powiedział mu:

- Boga nie osiąga się w procesie dodawania do duszy czegokolwiek, ale przez odejmowanie. Aby być wolnym niczego nie rób, ale coś odrzucaj. Wówczas będziesz wolny...

Bardzo mu się to powiedzenie podobało. Miał wystarczająco wiele, a to, czego potrzebował, to odejmować od siebie.

Ale jakich rzeczy nie dodawać? Co odejmować? Tego jeszcze nie potrafił zgłębić, czuł jednak, że jest to słowo specjalnie dla niego. Z tego powodu czuł się wyróżniony. Z jednej strony odczuwał niewymowną potrzebę bycia wolnym i szczęśliwym, z drugiej strony chciał, tak jak Mojżesz, spotkać Pana, aby móc z Nim rozmawiać sam na sam, bez żadnych pośredników.

- Czy ty, mężu boży – zwrócił się raz do pustelnika – znalazłeś Pana? Czy rozmawiałeś z Nim?

- Pan jest w każdym z nas. Nie potrzeba Go daleko szukać. Jeżeli Go odnajdziesz w sobie, odnajdziesz z Nim kontakt.

- Jakże tak? Przecież nauczyciele uczą, że Pan jest obecny tylko w świątyni. I że tylko tam można doznać Jego łaski – pytał Jonasz. – To, co mówisz, sprzeczne jest z nauczaniem.

- Jonaszu, przyszedłeś po nauczanie czy szukasz prawdy?

- Staram się zrozumieć, to...

- Nie staraj się – przerwał mu pustelnik. – Boga nigdy nie zrozumiesz. Po prostu przyjmij wszystko takim, jakim jest. Bądź tylko świadomy!

- To, co mówisz, jest zbyt proste – coraz bardziej zakłopotany stwierdzał Jonasz. – Gdyby wszystko było tak jak mówisz, to po co byłaby świątynia, ceremonie, kapłani? Przecież to wszystko Bóg dał przez Mojżesza. To wszystko jest potrzebne ludziom.

- Dobrze powiedziałaś, Jonaszu. Potrzebne jest ludziom! Pomyśl, czy to jest potrzebne Bogu?

Nigdy jeszcze w taki sposób nie myślał. To, czego nauczano go jako chłopca, było proste, jasne i oczywiste. Bóg wszystkim zawiadywał. Ale do Boga nie można się było zwracać bezpośrednio, bez pośrednictwa proroka czy kapłana. Bóg był zbyt odległy dla maluczkich. Ofiarami można było wyblagać Bożą przychylność. Zaś sam Bóg jawił się jako surowy sędzia, który jest zazdrosny o wszystko i wszystkich. Mieszka w świątyni, dlatego nawet modląc się w ciągu dnia, zwracano się w stronę Jerozolimy, aby modlitwy najpewniej dotarły przed oblicze samego Wielkiego i straszego Boga, przed którym czuło się jedynie strach i lęk. Takiego Boga znał, takiego Mu przekazano, ale im bardziej przybliżał się do Niego, zaczynał poznawać Go z zupełnie innej strony.

Jonasz odszedł zawstydzony - jeszcze nie był w stanie do końca przyjąć tego, o czym mówił pustelnik. Były w nim sprzeczne uczucia: z jednej strony gdzieś bardzo głęboko zgadzał się z tym, co mówił ten człowiek, lecz z drugiej strony to burzyło w nim wszystko, czego do tej pory był pewien. Całe poczucie bezpieczeństwa, jakie do

tej pory miał, odchodziło. W to miejsce pojawiały się inne uczucia, których jeszcze nie potrafił zidentyfikować ani nazwać. Niemniej jednak, całe jego wnętrze było wzburzone jak morze w czasie sztormu. Nigdy nie myślał jak ten pustelnik. Nigdy nie zadawał tak prostych pytań. Szukał raczej skomplikowanych odpowiedzi, podczas gdy te podstawowe pomijał. Chociaż te najprostsze są z reguły zawsze najtrudniejsze. Pustelnik uczył go odpowiadania na podstawowe kwestie i zawsze trafiał w samo sedno. Jonasz często nad tym się zastanawiał. Nie przychodziło do niego żadne inne logiczne wytłumaczenie jak tylko to, że ten człowiek musi wiedzieć, o czym mówi, i musi być bardzo blisko Boga, skoro tak dobrze zna arkana ludzkiej duszy i potrafi bezbłędnie odczytać nawet to, co ktoś ma schowane głęboko w sercu.

Te spotkania prowokowały Jonasza. Zauważył niezwykłą zbieżność z tym, co mówi pustelnik, a tym, co słyszy od swego duchowego opiekuna. Tak jakby to była jedna i ta sama osoba, albo raczej osoby napełnione tym samym duchem.

Był coraz bardziej rozdwojony. Czasem, gdy leżał nocą i nie mógł zasnąć, przyzywał w myślach swego duchowego opiekuna.

- Chciałbym poznać twoje imię – zagadnął.

- Dlaczego chcesz znać moje imię? Możesz nazywać mnie jak chcesz. Bo to jest tylko dla ciebie ważne – mówił jego opiekun.

- Powiedz jak zmienić wszystko? Jak zmienić siebie? – pytał dalej Jonasz.

- Jeśli idziesz do lekarza, bo coś ci dolega, oczekujesz pomocy.

- Tak – przyznał bez chwili wahania.

- Pomyśl, gdyby na twoją dolegliwość lekarz przepisał jakieś lekarstwo dla twego ojca, zamiast ciebie. Czy to poprawi twoje samopoczucie? Często myślisz, że jeśli ktoś się zmieni, ty poczujesz się lepiej. A to jest przecież twoja dolegliwość!

- Racja – z namysłem odpowiedział Jonasz.

To myślenie coraz bardziej go zaskakiwało.

- Hm... dziwne - zastanawiał się dalej – nigdy tak nie myślałem.

- Ale tak robiłeś, a to wystarczy. Chcesz, aby inni się zmieniali. Mówisz: „*Czuję się dobrze, bo świat jest w porządku*”. Błąd! *Świat jest w porządku, ponieważ ja czuję się dobrze*. Zrozum to wreszcie!

- Ale nasi nauczyciele nauczali...

- Zostaw nauczycieli z ich nauczaniem – przerwał mu znajomy głos. – Oni nauczają tylko litery, ty patrz głębiej, sięgaj dalej. Wszystkie odpowiedzi są w zasięgu twego wzroku, gdyż są w tobie.

Nie czuł się jeszcze gotowy, by sięgnąć w głąb siebie. Jeszcze próbował się czymś asekurować. Uważał siebie raczej za ostatniego spośród tych, na których miałby spaść Boży wzrok.

- Nigdy nie będziesz miał właściwego czasu, aby cokolwiek uczynić dla Boga czy dla innych – kontynuował opiekun. – Zawsze będzie to czas nietrafiony, najgorszy z możliwych. To oznacza, że jest to czas najbardziej właściwy, najodpowiedniejszy!

- To jest zbyt trudne dla mnie – usprawiedliwiał się Jonasz. Czuł się coraz bardziej zawstydzony.

- Będzie trudne, zanim nie zacznie być proste! Jonaszu, ty się ciągle czymś asekurujesz.

- Tak, to prawda - pomyślał Jonasz.

- Musisz wybierać, Jonaszu. Wszystko leży u podstawy twojej decyzji. To jest twój fundament. Decyzja wyboru „pomiędzy”.

Zawsze gdy dochodziło do bezpośredniej konfrontacji w jego życiu i był przymuszany do dokonywania wyborów „pomiędzy”, czuł się zagrożony. Wówczas najprostszym wyjściem dla niego była ucieczka. Zawsze uciekał. Odkąd tylko sięgnął pamięcią - uciekał. Jako mały chłopczyk uciekał, gdy coś zbroił. Jako młodzieniec uciekał przed odpowiedzialnością, gdy dokonał złego wyboru. Zawsze przed czymś lub kimś uciekał. Ucieczkę jakby miał wpisana w geny. Gdy tylko odczuwał jakiegokolwiek zagrożenie, brał nogi za pas. Szczególnie wówczas, gdy ktoś go zdenerwował. Wolał udać się gdzieś w ustronne miejsce, aby ochłonać, niż dać się ponieść emocjom i wypowiedzieć coś, czego potem by żałował. To pozwalało mu zachować jakąś równowagę wewnętrzną, z której był tak dumny. Chciał być człowiekiem opanowanym. I chciał, aby inni go takim postrzegali. Ucieczka była jego wewnętrznym przymusem.

Innym razem, gdy był nad jeziorem Kineret i zbliżał się do groty, pustelnik, nie podnosząc nawet głowy, powiedział w jego kierunku:

- Jonaszu, próbowałeś wyjaśnić i zrozumieć istnienie wszelkiego cierpienia, zła, zniszczenia i głodu na świecie. Nigdy tego nie wyjaśnisz! Będziesz bawił się wyjaśnieniami - religijnymi czy innymi - ale nie wyjaśnisz tego nigdy! Bo życie jest tajemnicą. Twój umysł nie jest w stanie tego wszystkiego rozwikłać. Jeśli będziesz tego świadomy, wówczas dopiero pojmiesz, że nie w świecie ukryte są problemy, ale że ty sam masz problem.

- Powiedz, święty mężu, skąd wiesz, z czym przychodzę do ciebie – wymamrotał osłupiały Jonasz.

- Zanim tu przyszedłeś, widziałem cię, jak zdążasz w moją stronę.

Jonasz był tym bardzo przejęty. Nagle zdał sobie sprawę, że jeśli przed człowiekiem nie może się skryć, to cóż dopiero przed Bogiem. Był też ciekaw, czy i myśli są znane drugiemu człowiekowi. Ale przecież pustelnik nie mógł wiedzieć, z czym przychodzi do niego, a jednak bezbłędnie go ocenił.

Faktycznie chciał wyjaśnić, zrozumieć, pojąć znaczenie cierpienia, zła i wielu innych pojęć. Myślał sobie, że kiedy będzie znał odpowiedzi na te kwestie, stanie się szczęśliwszy. Teraz wiedział, że się mylił. I to bardzo.



Jonasz zerwał się z posłania i wybiegł na górny pokład, przewracając po drodze jakieś pakunki. Chciał za wszelką cenę jeszcze raz zapytać lewiego Rabena o to, co teraz paliło go od środka. Był pewien, że teraz uzyska odpowiedź. Musiał. Już nie mógł dłużej czekać! Wiedział, że odpowiedź jest bliżej niż mu się wydaje, że jest w zasięgu jego ręki, wystarczy tylko ją uchwycić. Teraz był gotów. W końcu był gotów. Po tylu latach! Nareszcie wszystkie klocki z jego życia, dzieciństwa, młodości zaczęły układać się jeden po drugim w logiczną całość.

Widział w tym pewną celowość. Teraz już nie chciał uciekać, bo przecież nie może uciec przed samym sobą! Nie może uciekać w nieskończoność. Jest w końcu gotów, aby odpowiedzieć i stanąć na wprost siebie. Wiedział, że odpowiedź jest w nim. Chciał jedynie potwierdzenia i upewnienia w tym.

Szukał lewiego, z którym jeszcze niedawno rozmawiał. Pytał o niego marynarzy, którzy mieli wachtę na pokładzie. Jednak nikt nie mógł mu wskazać miejsca, gdzie lewi się znajduje. Czuł się coraz bardziej zażenowany. W końcu odkrył tak ważne rzeczy w swoim życiu, których inspiratorem był lewi, a tu lewiego... nie było! Chciał się podzielić tym wszystkim, co doszło do niego, ale nie mógł. Miał jeszcze tyle pytań.

- Spokojnie, spokojnie... – powtarzał sobie w myślach – pewnie gdzieś jest...

Gorączkowo przeszukiwał pokład. Już prawie świtało. W oddali ukazał się jakiś ład, zamigotały światelka. Ale Jonasz ciągle nie mógł znaleźć ukojenia. Teraz brakowało mu rozmowy, przed którą jeszcze niedawno uciekał.

Smutny przysiadł na jakimś pakunku. Któryś z marynarzy zarzucił mu okrycie na plecy. Zaciągało zimną bryzą. Jonasz był mu wdzięczny za okazaną życzliwość. Cały zatopił się raz jeszcze w swych rozważaniach.

- Boże, jak mogłem Ci to zrobić? – pomyślał. Był zrozpaczony.

Przed oczyma Jonasza wyświetlił się pewien obraz - tego, co w ostatnich latach działo się w jego życiu. Czasami dopadały go takie chwile jak ta, gdy swoje dotychczasowe życie widział jaśniej, przejrzyściej, bardziej świadomie.

Patrzył na siebie jak nigdy dotąd. Tak jakby oglądał siebie zupełnie z boku. Było to szczególne uczucie. Jego ciało zaczęło drżeć, bynajmniej nie z zimna.

To było pewnej wiosennej nocy. Gdy zioła zaczynały bardzo intensywnie pachnieć i gdzie wszystko dookoła zaczyna kwitnąć. Jak co dzień, położył się zmęczony po całodziennym trudzie.

Tego dnia znów spotkał uroczą dziewczynę, która od kilku tygodni głęboko zapadła mu w serce, i nagle wszystko zaczynało być zupełnie inne. Jej spojrzenie powodowało w nim silne odczucia, których nie znał do tej pory. Całymi dniami mógł patrzeć tylko na nią. Szukał jej spojrzeń, szukał sposobności, żeby być blisko niej. Tak naprawdę, to ona go spotkała. To ona wyrwała go z tego snu, z tej stagnacji, której uległ. Nagle wszystko stało się takie proste i oczywiste. Żaden wysiłek, choćby największy trud, nie był dla niego zbyt ciężki, a wręcz stawał się rozkoszą. To było przedziwne uczucie. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie odczuwał. Czuł, jakby znał tę dziewczynę od zawsze. Zbyt nie było sposobności, aby mógł z nią rozmawiać, gdyż ona mieszkała po drugiej stronie Jeziora Kineret. Dzieliło ich wiele mil. Spotkał ją pierwszy raz podczas Święta Namiotów. To szczególne święto było jednym z najbardziej radosnych świąt. Był to czas jesienny, po zebraniu wszystkich plonów ziemi. Właśnie ustawiono namioty w ogrodach i na szczytach domów. Te szalasy symbolizowały czasy, gdy Izrael żył w namiotach na pustyni po wyjściu z Egiptu. Właśnie wylewano wodę, modląc się o obfity deszcz w nadchodzącym roku, gdy dojrzał w sąsiednim ogrodzie niezwykle, niebieskie oczy, które patrzyły nań. Była to Aisa. Miał wrażenie, że kiedyś już ją spotkał. Może w innym życiu?

Spędzała dwa tygodnie u swojej rodziny. Spotykali się codziennie. Chodząc na okoliczne pagórki, wpatrywali się w przejrzysty błękit. Nie potrzebowali słów, aby wszystko rozumieć. Podczas rozmów dosłownie wyjmowali sobie słowa z ust. Często też się śmiali. Każdy wieczór spędzali wpatrując się w niebo, jakby chcieli wyczytać tam swoją przyszłość. Czuli się częścią kosmosu. Częścią siebie. Wiedzieli, że są stworzeni tylko dla siebie. Po prostu, wiedzieli. Po tych cudnych dwu tygodniach rozstali się na długie lata. W międzyczasie spotkali się tylko raz, dosłownie przelotnie. I znów odżyły wszystkie uczucia. I znów zadawali sobie pytanie, czy i kiedy będą ze sobą? Czy to będzie kiedykolwiek możliwe? Nie mieli żadnej pewności.

Jonasz wiedział, że kiedyś będzie musiał dokonać wyboru. Czy mógł kochać kobietę, jednocześnie służąc Bogu? Wyboru jednak dokonała Aisa. Była zazdrosna o Boga. Nie chciała, aby On dzielił ich oboje. Chciała być najważniejszą i jedyną w jego życiu. Rozstali się, myśląc, że każdy podąży swoją drogą i to będzie najwłaściwsze rozwiązanie. Byli zbyt młodzi, aby wiedzieć, jak bardzo się mylili. Targały w nich sprzeczne uczucia, które nie pozwalały im widzieć nic poza niemożnością bycia razem. Więcej już jej nie spotkał. Czuł się oszukany i bezradny jeszcze bardziej.

Nie wiedzieć czemu, czasami sam przywoływał te wspomnienia, a czasami dopadały go one samoistnie. Chyba dlatego, by pogłębić w nim poczucie cierpienia za

tym, co utracił, a co stanowiło dla niego jakąś wartość. Sam już nie wiedział. Te cierpienia jakby były jego modlitwą, jakby chciały mówić:

- Panie, widzisz jak przeżywam to wszystko. Zostawiłem to dla Ciebie, by Tobie służyć. To cierpienie przybliża mnie nędznego do Ciebie. Odczuwam jeszcze ściślejszą więź z Tobą. Choć często nie mam sił, jednak wiem, że na Twoje siły mogę zawsze liczyć. Odczuwam wielki ból i wielką pustkę za tym, co zostawiłem, ale jeśli to ma mnie przyprowadzić do Ciebie, Panie, zgadzam się na wszystko.

Przyszło też inne wspomnienie z minionych lat. Zobaczył siebie, jak mijały lata, a on był sam. Czuł się coraz bardziej osamotniony i wypalony. Dawny żar dociekania prawdy uleciał, tak jak uleciała jego młodość. Posuwał się w latach, a im był starszy, tym bardziej żałował wszystkiego, co dotyczyło jego osoby. Stał się zgorzkniały i sarkastyczny. Młodzieńcze ideały gdzieś odeszły w zapomnienie. Czasy były naprawdę trudne. W Izraelu już siódmy rok panowała susza. Wszystko, co zdążyło wyrosnąć z ziemi, było palone przez słońce. Wody było jak na lekarstwo. W wielu regionach ogłoszono restrykcje w poborze wody. Wydzielano każdemu jej dzienną rację, zarówno ludziom, jak i zwierzętom. Modlono się o deszcz. Ale niebo było nieporuszone, jakby było szczelnie zamknięte. Bóg nie wysłuchiwał modlitw swego ludu. Jakby nie był już zainteresowany swoją własnością. Nawet interwencja u innych bogów na nic się zdała. Cały Panteon był głuchy.

W drugim roku tej posuchy, podczas Święta Tygodni, koło obejścia Amittaja pojawiło się dwu przybyszów. Wygląd ich świadczył o tym, że są pielgrzymami i przebyli długą drogę. Gdy Amittaj zobaczył przybyszów, zawołał w ich stronę:

- Wejdźcie mężowie i zagośćcie w mym domu, aby błogosławieństwo Najwyższego stało się i moim udziałem.

- Błogosławieństwo Najwyższego jest nad twym domem, Amittaju – usłyszał w odpowiedzi.

- Dziękuję wam o zacni mężowie za dobre słowo.

Amittaj kazał Jonaszowi zaprowadzić zwierzęta do obejścia i nakarmić je. Ponadto nakazał podzielić racje wody własnych zwierząt ze zwierzętami przybyszów. Tymczasem sam zaprowadził gości do środka skromnej, glinianej chaty.

Jonasz zastanawiał się, czemu wędrowcy akurat wybrali ich obejście, żeby się tu zatrzymać. Przecież jest wiele zacniejszych i zamożniejszych rodzin, a im ledwo starcza na przeżycie. Gdy był zatopiony w tych rozważaniach, usłyszał głos ojca:

- Jonaszu, Jonaszu, pośpiesz się...

Z niechęcią wstał, aby iść do domu. Gdy stanął przed ojcem, ten zwrócił się doń:

- Idź szybko, zmocz to i obmyj nogi przybyszom, bom ja już stary. A to nasz odwieczny zwyczaj.

Bez żadnego słowa wziął od ojca wskazane zawiniątko. Był to gałgan płótna. Ze względu na suszę i problemy z wodą, nie umywano nóg w misie, lecz wycierano je gałganem. Jonaszu bardzo drażniła postawa ojca, który ceremonialnie za każdym razem, gdy ktoś odwiedzał ich dom, wypowiadał te same słowa. Tak jakby od tego miała zależeć ich sława i opinia wśród innych, o którą on sam wcale nie zabiegał, ale - posłuszny ojcu - wykonywał wszystko bez szemrania. Ojciec natomiast wyszedł przygotować jakąś strawę dla podróżnych.

Jonasz podszedł do jednego z pielgrzymów, by obmyć mu nogi, gdy ten niespodziewanie zapytał:

- Wiesz, co znaczy twoje imię?

- Wiem, Panie – odrzekł. – Oznacza „gołębia”.

- A wiesz, dlaczego zostałeś nazwany „gołębiem”? – dopytywał się dalej podróżny.

- Nie, Panie...

Jonasz próbował przyjrzeć się podróżnym, lecz był zbyt nisko, aby mógł cokolwiek dojrzeć. Wiedział, że jego imię po hebrajsku oznacza „gołąb”, nawet kiedyś próbował dociec tego. Był u jednego z proroków Pana, który powiedział mu, że imiona mają wielkie znaczenie i nie są nadawane ot tak sobie. Ale niczego więcej się nie

dowiedział. Teraz ci tajemniczy podróżni chcieli wyjawić mu sekret jego przeznaczenia. Czyżby?

- Twoje imię symbolizuje ptaka...

Też odkrycie, o tym wiedział od dawna.

- Dlatego symbolizuje ptaka, bo masz być posłańcem, a gołąb jest posłańcem.

- Posłańcem czego? – zupełnie zdumiony, z wypiekami na twarzy pytał Jonasz.

- Nie posłańcem czego, a posłańcem kogo – spokojnie wyjaśniał przybysz. - Jesteś posłańcem Najwyższego, masz być Jego narzędziem. Masz być prorokiem Najwyższego.

- Ja... – roześmiał się Jonasz – przecież jestem człowiekiem ciężkiej mowy, kto mnie usłucha, zresztą Pan ma już swoich proroków.

Jonasz mówił z niedowierzaniem w głosie, jękając się przy tym. Jakże Bóg mógłby go użyć? Nie ma nic, co mógłby ofiarować Najwyższemu. Owszem, kiedyś chciał służyć Bogu. Czasami marzył o tym, ale to były tylko marzenia i dawno już z tego wyrósł. A z drugiej strony, czego ci podróżni chcą od niego? Przecież już dawno przestał służyć Bogu. Zajął się swoim życiem i nie obchodziło go już więcej zajmowanie się służbą dla Pana. Gdyby zaproponowali mu służbę w świątyni..., ale oni mówią o prorokowaniu! Zimny pot wystąpił na twarzy Jonasz. Słowo *prorok* było słowem bardzo pogardliwym. Zaś prorocy, ci, którzy wybrali tę drogę, byli zawsze prześladowani i najczęściej ginęli. Zwykle byli tułaczami w swoim kraju, nie mieli domu ani nic swojego, chyba że prorokowaliby pochlebstwa dla króla i możnowładców, wtedy byli na utrzymaniu dworu i najczęściej się nie przepracowywali. Ale nie o takich prorokach myślał Jonasz. Prorok Pana żył w ciągłym zagrożeniu, gdyż często przekazywał wolę Najwyższego dla rządzących, wytykając często ich błędy. Nazbyt dużo nasłuchiwał się opowieści o Eliaszu i innych prorokach Pana, którzy byli prześladowani i ginęli w męczarniach. O nie, tak nie myślał żyć, ani tak ginąć. Kiedyś, gdy myślał o prorokach, zawsze powtarzał:

- Nigdy, Panie, nie chciałbym być Twoim prorokiem. Nigdy.

I to, czego zawsze nie chciał, przed czym się bronił, miałoby przyjść na niego? Przenigdy. Za żadne skarby. Nie w tym życiu!

Był przerażony. Jakim prawem jacyś ludzie mówią mu, kim on ma być? Przecież już zaplanował całe swoje życie. Wiedział już, że musi być tym, kim jest. I nic tego już nie zmieni. Taki los, takie przeznaczenie. Nie zamierzał zmieniać swego przeznaczenia. Był u wróżby. Znał dokładnie swoją przyszłość.

Zaczął drzeć na całym ciele. Złość na przybyszów wzbierała w nim coraz bardziej. Jak oni mogą tak mówić?! Niesłychane.

- Sam wybrałeś sobie takie życie, dlaczego więc masz teraz pretensje do Najwyższego. Zgodziłeś się być Jego głosem – mówił jeden z przybyszów.

- Na nic się nie zgadzałem! Pomyliliście mnie z kimś innym – Jonasz zaczął podnosić głos. – Zresztą, jakie to ma znaczenie? Jestem pasterzem owiec. Potrafię tylko rozmawiać ze zwierzętami.

- To, co dotyczy ciebie – przerwał mu drugi podróżny – to stanowi ciebie. Posłuchaj, a zobaczysz...

- Nic nie chcę widzieć. Nic nie chcę zobaczyć – fuknął Jonasz.

Najchętniej opuściłby już niewygodnych gości. Nie rozumiał ich wcale, a i oni nie chcieli go zrozumieć. Najwyraźniej z kimś go pomylili, najwyraźniej. Irytowała go ich

bezpośredniość. Zaczął się coraz bardziej jąkać. Zawsze tak było, gdy dominowały w nim emocje.

- Jonaszu – łagodnie zwrócił się pierwszy z podróżnych – pamiętasz swój namiot u swego dziadka, dawno temu. Gdy byłeś chłopcem, często chowałeś się w nim przed skwarem słońca. Pewnego dnia stanął przed tobą anioł Pana. Pamiętasz, o czym ci mówił?

To, co usłyszał Jonasz, dosłownie zatrzęsło nim. Skąd przybysz mógł to wiedzieć? Przecież nikomu o tym nie opowiadał. Dawno już o tym zapomniał. Nawet dziadek nie o wszystkim wiedział. Teraz zobaczył z całą wyrazistością tę scenę: namiot z gałęzi, tamten słoneczny dzień. Była bardzo świeża w jego pamięci, jakby rozgrywała się wczoraj.

- Pamiętam...- cicho wyszeptał Jonasz, zmieszany własnym głosem.

- To był anioł Boży. Boży wysłannik. Mówił do ciebie, nie otwierając ust, a ty wszystko słyszałeś. Oznajmił ci, że jesteś wysłannikiem Najwyższego, Jego prorokiem. I że nadejdzie czas, gdy Pan cię powoła...

Jonasz padł na kolana i zaczął płakać. Przypomniawszy sobie wszystko. Wspomnienia wróciły z ogromną siłą i wyrazistością. Jego całe ciało zaczęło drżeć, jakby jeszcze próbował się bronić, sam nie wiedząc przed czym.

- Pamiętam wszystko – szeptał Jonasz.

- Nadchodzi twój czas, gołębiu. Pan oznajmia ci, że nadchodzi twój czas. A to dla ciebie, abyś już nie wątpił.

Wyciągnął rękę, w której trzymał wisiorzek na rzemieniu. Podał go Jonaszowi. Ten bezwiednie wyciągnął rękę, aby go uchwycić. W tej samej chwili wszedł do izby ojciec, z gotowym już posiłkiem.

- Co tak długo guzdrzesz się, Joni? – rzucił w stronę Jonasza, przy czym rozglądał się po całej izbie, szukając przybyszów. Ale przybyszów już nie było.

- Gdzie są nasi goście? – zapytał.

- Ojcie, już ich nie ma, odeszli...

- Jak to odeszli? – pytał coraz bardziej poirytowany ojciec. – Dlaczego odeszli? Tak bez słowa? Przecież przygotowałem im posiłek...

Coraz uważniej przyglądał się Jonaszowi, który jeszcze kuczał na kolanach i bardzo dziwnie wyglądał. Półmrok nie pozwalał mu jednak dojrzeć zapłakanych oczu jego syna. Niemniej czuł dziwną atmosferę.

- Co im powiedziałaś? – nagle zwrócił się do syna. – Słyszałem twój podniesiony głos. Co im powiedziałaś? - coraz bardziej podnosił głos.

- Nic, ojcie – odpowiedział Jonasz.

To jeszcze bardziej rozzłościło ojca. Był wściekły, że podróżni opuścili jego domostwo. Teraz na pewno udadzą się gdzie indziej i będą opowiadać, jak ich potraktowano. Potem wszyscy będą wytykać mu brak gościnności. A to wszystko przez Jonasza. Im bardziej o tym myślał, tym bardziej krew uderzała mu do głowy. Był wściekły na syna.

- Zawsze przez ciebie muszę się wstydzić. Z tobą wieczne kłopoty. Chociaż mógłbyś czasem się zamknąć, a nie klachać jęzorem. Dlatego Bóg cię pokarał jękaniem!

- Ojcie, przestań! Ciągłe mnie obwiniasz, za wszystko. Mam już tego dość. Dość twego poniżania mnie. Słyszysz? Dość!

Wybiegł. A wściekłość w nim wzburzyła wszystkie najgorsze instynkty. Rozumiał teraz tych, którzy w stanie wielkiego wzburzenia zdolni są do największych zbrodni. Nie słyszał już przekleństw, które ciskał w jego stronę ojciec, a które wiatr zagłuszał coraz większym naporem i szumem. Pogoda była wietrzna, tak jakby za chwilę miała przyjść nawałnica. I rzeczywiście, tak było. Ze wszystkich stron dał przejmujący, siekający wiatr. Nie zważając na niepogodę, Jonasz biegł w stronę swojej samotni. Często w takich chwilach szukał w niej schronienia, a że było ich wiele, dlatego często tu przebywał. Było to pobliskie miejsce, tuż nad samym jeziorem. Jego ustronność sprawiała, że Jonasz czuł się tu dobrze. Zawsze przychodził tu w chwilach wzburzenia, kiedy szukał ciszy i ukojenia. To była jego samotnia. Tu czuł się naprawdę sobą. To była jego odskocznia od tej ponurej rzeczywistości. Czasem myślał, że to właśnie samotnia sprawia, iż jeszcze nie zwariował. Siadł na ziemi, wpatrując się w toń jeziora. To go uspokajało. Miał już dość ciągłych docinków ojca, który wszystkie swoje niepowodzenia przenosił na niego. Dość wyzywania! Przecież on się ciągle starał. Całe życie starał się spełniać oczekiwania innych i co dziś za to ma? Nie mógł się nawet skupić na dziwnym spotkaniu i na tym, co usłyszał. Wstał, by wrzucić kamienie do jeziora. Ciskał je z wielką siłą, aż zupełnie się uspokoił. Nie chciał już o niczym myśleć. Pragnął tylko, aby ten dzień jak najszybciej się zakończył. Po kilku godzinach wrócił do domu. Nie odzywał się do ojca. Ten tylko kazał mu iść do obejścia nakarmić zwierzęta. Widać też przemyślał swoje słowa. Obaj byli uparci i żaden z nich nie chciał ustąpić ani przemówić jako pierwszy.

Poszedł do zagrody, gdzie było kilka zwierząt jego ojca. To stanowiło cały ich dobytek. Nagle stanął jak wryty. Nie spodziewał się tego, co zobaczył. Juczne zwierzęta podróżnych, którymi miał się zająć, ciągle tu stały. Nagle o nich sobie przypomniał.

Wbiegł do domu.

- Ojcie, zwierzęta podróżnych ciągle tu są!

- Jak to możliwe? – zdziwił się Amittaj. – Idź szybko, odszukaj ich i oddaj ich własność.

- Ojcie... oni nagle zniknęli...

- Nie gadaj głupstw, Jonaszu, nie zaczynaj znowu.

Jonasz wiedział, że na nic się nie zda tłumaczenie ojcu, iż w chwili, kiedy wszedł do pomieszczenia, gdzie Jonasz wycierał nogi wędrowcom, oni nagle zniknęli. W jego ręku został jedynie dziwny medalion. Zapomniał o nim całkowicie. Jeśli ci podróżni nie byli duchami, to odnajdzie medalion. Teraz chciał go odszukać. Zaczął nerwowo rozglądać się po pomieszczeniu, w którym go zostawił.

- Idź szybko, nie zwlekaj – mówił do niego ojciec.

- Już, już...

Znalazł dziwny medalion, który ciągle leżał na ziemi, jakby na niego czekał. Schwycił go mocno i wybiegł na zewnątrz. Dopiero teraz poczuł, jak jego policzki są rozgrzane. Prawie płonęły, a serce biło bardzo szybko. W dłoni miał dowód spotkania. Nałożył go na szyję i pobiegł do obejścia, aby wyprowadzić zwierzęta podróżnych, tak jak rozkazał ojciec.

Zwierzęta bardzo opierały się, by wyjść na zewnątrz. Tak jakby chciały powiedzieć, że tu jest ich miejsce.

Dopiero kiedy udało mu się je wyprowadzić na zewnątrz i kiedy prowadził je przed sobą, uświadomił sobie, co robi. Przecież to niedorzeczność. Sam widział, jak na jego

oczach podróżni zniknęli. Tak jakby nagle rozpułnęli się albo roztopili. Zupełnie tego nie rozumiał. Dowodem zaś było to, co teraz prowadził za sobą - juczne zwierzęta obładowane torbami i sakwami. Właśnie minął pierwsze domostwa, gdy pomyślał sobie:

- Przecież i tak ich nie znajdę. Na próżno idę. Lepiej zawrócić, bo i tak jest już późna pora.

Zawrócił. Pospieszenie wprowadził zwierzęta do zagrody. Nie chciał, aby ojciec widział, że tak szybko wrócił. Zwierzęta przywiązał do balustrady. Zdjął torby i dał zwierzętom siana.

Sam stanął z boku, aby przyglądać się im. Nie za bardzo wiedział, co ma zrobić. Popychała go ciekawość, żeby rozpakować i zobaczyć co jest w torbach, a z drugiej strony bał się tego.

Siadł i zaczął przyglądać się dziwnemu medalionowi, który zawiesił sobie wcześniej na szyi. Był on naprawdę dziwny. Zakończony metalowym znakiem. Nigdy czegoś podobnego nie widział. Owszem, ludzie wysokiego stanu często nosili różne ozdoby. Ta dziwna moda przyszła z Egiptu, gdzie mężczyźni nosili różne wota, nazywając je talizmanami czy amuletami. Babilończycy zaś twierdzili, że te wota ochraniają ich przed gniewem bogów. Każde z wot miało jakieś znaczenie i coś oznaczało. Ciekawe, co oznaczało to, co trzymał teraz w rękach. Przecież on nie jest szlachetnego rodu i nie ma prawa do takiej ekstrawagancji.

Dla Jonasza był to znak z nieba. Dowód, na który czekał przez tyle lat. Kiedy już przestał wypatrywać znaku, Bóg przypomniał sobie o nim. Cekał na jakiś znak, ale nie spodziewał się, że wzrok Boży padnie na niego i Bóg będzie chciał go użyć jako swego proroka, jako swoje narzędzie. Słyszał o Dawidzie, jak został namaszczoney przez proroka Samuela. Słyszał o innych namaszczanych prorokach. Tak sobie zawsze wyobrażał powołanie do służby. Ale nie w inny sposób - że przyjdzie anioł i oznajmi coś. W dodatku nawet nie ma świadków.

- Panie, jak mam przekonać innych, że mam być twoim prorokiem? Przecież wszyscy mnie znają - zaczął mówić do Boga. - Przecież będę dla nich samozwańcem. Kto mi uwierzy?

- Nie patrz na nich, patrz na Mnie - usłyszał w odpowiedzi.

- Dokonałeś, Panie, najgorszego wyboru z możliwych, wybierając sobie mnie - kontynuował.

- Ja dokonałem - zdawał się słyszeć ledwie wypowiedziane słowa, które napełniały go błogością i pokojem.

Dawno już nie rozmawiał z Bogiem. Bardzo dawno. To, co próbował, to zawsze było monologiem. Teraz zaczął słyszeć. To było przedziwne uczucie. Nie trzeba żadnych pośredników, żeby mówić i aby słyszeć to, co Bóg ma do powiedzenia.

- Po co, Panie, przysyłasz aniołów? Czyż nie łatwiej, abyś mówił bezpośrednio do nas?

- Aniołowie są posłani, aby byli nie tylko posłańcami, ale przede wszystkim, aby byli pomocą. One są służebnymi duchami - zdawał się mówić Bóg.

Zastanawiał się, czemu zatem wielu ludzi czci i oddaje hołd aniołom. Zatem, to nie pośrednicy, a posłańcy. Tym, co usłyszał, był wstrząśnięty.

- Jeszcze wiele rzeczy usłyszysz, które nijak się będą miały do twego poznania - usłyszał w odpowiedzi. - Dlatego że muszę zburzyć twoje wyobrażenie o Mnie, gdyż ono nie pozwala ci być mi użytecznym.



Im bardziej wsłuchiwał się w ten wewnętrzny głos, tym bardziej był zadziwiony. Nigdy tak nie myślał. Był wyuczony innych prawd. Ale odczuwał bardzo intensywne wewnętrzne poruszenie. Gdy wychodził z obory, ogarnęły go ciemności. Wokół wszystkie światła były już pogaszone. Zaś on stał z pochodnią. Spojrzał na niebo, które było całe wypełnione gwiazdami. Ani jednej chmury, ani jednego zaćmienia. Wszystko w idealnej harmonii. Jakby wszystko nagle ożyło, zaczynało mówić, śpiewać. Nigdy tego nie doświadczał. Stał tak długo – wpatrzony, z dogasającą pochodnią. Jeśli mógł określić swój stan, to akurat nie mieścił się on w żadnych ramach - było to wprost mistyczne uczucie. Był urzeczony tym wszystkim, co go spotkało. Wszystko było takie jasne i przejrzyste.

Następnego dnia zbudził go głos ojca:

- Wstawaj, leniu jeden! Czas nakarmić zwierzęta i wziąć się do pracy!

Ojciec wszedł do obory i zobaczył zwierzęta, które kazał wczoraj odprowadzić. Złość zawrzała w nim na nowo.

- Przecież kazałem ci odprowadzić te zwierzęta! Chcesz, aby one sprowadziły na nas nieszczęście?

- Ależ ojcie... - próbował wytłumaczyć. – Wczoraj nigdzie podróżnych nie znalazłem, szukałem wszędzie.

Skłamał, bo wiedział, że ojciec nie chce mu wierzyć i na próżno będzie próbował go przekonać.

- Ty nedorajdo życiowy – usłyszał w odpowiedzi. - Bóg mnie pokarał takim synem. Nigdy nie potrafisz doprowadzić czegoś do końca. Nigdy!

Nie chciał się już spierać ani udowadniać ojcu, że jest inaczej. Gdyby mu zaczął opowiadać o wczorajszych wydarzeniach, o tym, że słyszał jak Bóg do niego przemawia w oborze, o Bożym wyborze na proroka, ojciec nie chciałby go w ogóle słuchać. Już wiele razy próbował i zawsze kończyło się tak samo - złość i wypominanie. To, o czym chciał mówić, nie mieściło się w religijnych kategoriach jego ojca, to burzyło cały stary porządek rzeczy. A tego, szczególnie tradycji, bano się utracić. Jakby to ona nadawała sens życiu i wyznaczała losy świata i poszczególnych ludzi.

Przyzwyczał się już do ludzkich narzekań, szczególnie ojcowskich. Amittaj często topił swoje smutki w winie.

- Teraz znów sam muszę wszystko zrobić – dalej ubolewał ojciec Jonasza.

Amittaj przeszedł po wszystkich osadach, dopytując się o tajemniczych nieznajomych, którzy pojawili się w dniu wczorajszym w ich miejscowości. Ale nikt ich w ogóle nie widział. Powrócił po wielu godzinach swych bezowocnych poszukiwań. Był odurzony alkoholem. W takich chwilach stawał się szczególnie wylewny. Przywołał swego syna.

- Nikt, z kim rozmawiałem – mówił do niego – nie widział tych pielgrzymów. Kamień w wodę. Zupełnie nic. Dziwna historia.

- Trzeba zwrócić ten bagaż - powiedział po namyśle.

- Ojcie, komu?

- No tak, nie wiadomo komu. To co z nim zrobimy? Może zatrzymamy? I tak niewiele mamy. Chociaż to będzie nagrodą za naszą gościnność... Przynieś te sakwy.

Jonasz posłuszny ojcu przyniósł bagaże dziwnych podróżnych. Ojciec wyjmował kolejne rzeczy.

- Dokładnie wszystko to, czego potrzebujemy! – wykrzyknął. – Bogu niech będą dzięki!

Osobliwe było to, że w sakwach znajdowały się dokładnie te rzeczy i w takich ilościach, które były im potrzebne. Były tam między innymi: korzec oliwy, kapy wierzchnie, tuniki oraz pożywienie.

- Zatrzymamy zwierzęta u siebie – dodał uradowany ojciec. – A kiedy wrócą po nie, oddamy im.

Teraz, siedząc na pokładzie statku, wszystko to sobie przypominał. Wspomnienia bardzo silnie odżyły. Jakby mówiły, oznajmiały mu i przybliżały Boże powołanie.

Wspomnienia zagadkowych zdarzeń wywoływały u Jonasza dziwną zadumę. Zaczynał coraz bardziej myśleć nad poselstwem, z jakim zjawili się u niego dziwni podróżni. Miał wrażenie, że znów widział aniołów.

Rozpamiętywał tamtą rozmowę:

- Mam być Bożym posłańcem - myślał – do kogo mam iść, kogo mam nawracać?

Często, leżąc nocą, rozmyślał o tym. Czuł się kimś ważnym. Oto w końcu go zauważą i inni będą się z nim liczyć. To mu odpowiadało. Zaczął wyobrażać sobie różne sceny, w których występował jako prorok. Widział cały splendor tej służby. To powodowało w nim dumę. Wszystkie ofiary, które musiał złożyć po drodze, były niczym wobec tego, czego teraz doświadczał.

- Jonaszu, ty masz być moim głosem – usłyszał głos którejś nocy.

- Tak, Panie, będę taki, jakim chcesz, abym był.

- Odrzuć swoje wyobrażenia o służbie, a szukaj Mnie. Tam, gdzie jestem, objawię ci się. Musisz nauczyć się, że wyobrażenia będą cię ograniczały i powodowały, że bardziej będziesz szukał siebie niż mojej woli.

- Naucz mnie porzucać moje wyobrażenia, Panie.

- Poprowadzę cię drogą, którą nie chcesz iść. Objawię ci to, czego się nie spodziewasz. Ale jeszcze nie jesteś gotów, choć twoje usta mówią o gotowości, ale serce jest gdzie indziej. Gdy twoje serce uwolni się od tego, będziesz mógł mi służyć.

- Ale ja, Panie... – nie zdążył dopowiedzieć.

- Zapomnij o słowach: dlaczego, nie rozumiem. Zaczynaj je zastępować: bądź wola Twoja, Panie, choć tego nie rozumiem, jednak przyjmuję.

Powoli zaczął zapadać w sen. Był bardzo zmęczony.

Mijały dni, a przez ten czas nic się szczególnego nie wydarzało. Do tego stopnia, że niecierpliwiło to bardzo Jonasza. Taka bezczynność była mu nie na rękę. Bardzo się niecierpliwił. Chciał być już używany. Chciał już widzieć Boże działanie.

- Panie, kiedy mnie użyjesz? – pytał.

- Masz być moim głosem – słyszał dalej ten sam głos.

Ze wszystkich stron dochodziły coraz częstsze słuchy, iż Asyryjczycy szykują się znów do wojny. Od wielu już lat napadali ziemie Judy i Izraela. Wyparli Aramejczyków i Medów. Ich kupcy wzbogacili się niezwykle na handlu.

Aby odkryć słabe strony wroga i jego poszczególnych miast, Asyryjczycy wysyłali swoich szpiegów. Jeśli ich armia zdobyła już wiele miast, wysyłała delegację, której zadaniem było zastraszenie i skłonienie obrońców do poddania się. W razie odmowy Asyryjczycy odcinali wszystkie drogi wokół takiego miasta i kontrolowali dostawy wody w okolicach. Najczęściej warunki w obleganych miastach pogarszały się z dnia na dzień. Jednocześnie budowano ogromny nasyp naprzeciw murów, z którego prowadzono ciągłe ostrzeliwanie. Los takiego miasta był wówczas przesądzony.

Asyryjczycy zaczęli stacjonować w pobliżu Baszanu, nieopodal miejscowości Asztarot. Ich forpocztę nieustannie przeczesywały okoliczne tereny.

Na początku wiosny było kilka namiotów wroga. Wówczas nikt z okolicznych miejscowości nie brał pod uwagę ich zamiarów. W międzyczasie namiotów zaczęło przybywać, z każdym dniem coraz więcej, a pod koniec jesieni były ich już całe zastępy. Z każdym też dniem przybywały nowe oddziały. Świadczyło to o tym, że niewątpliwie coś planują. Dlatego też rada starszych w miejscowości Gat ha-Chefer zwołała obrady, na które przybyli okoliczni mieszkańcy. Ewentualna wojna wisiała w powietrzu, wszyscy o niej po kryjomu mówili. Nie można było nie zauważać tego problemu.

Na placu w centrum miasta ustawiono na podwyższeniu siedem krzeseł, na których zasiadło siedmiu starców. Obok nich zasiadł zarządca miasta, kapłan oraz dowódca wojska. Wszyscy oni stanowili o losach miasta i okolic. Ale te obrady nie były tajne, gdyż w sprawach niezwyklej wagi inni mieszkańcy mogli w nich uczestniczyć. A właśnie ta sytuacja tego wymagała. Wokół rady zebrał się spory tłum ludzi, którzy stojąc, przekrzykiwali się nawzajem. Powstał wielki harmider, nad którym niełatwo było zapanować. Zarządca próbował rozpocząć obrady, ale nikt nie chciał go słuchać. Dopiero gdy wstał kapłan, który wyciągnął rękę w geście gromu i stał tak jakiś czas, tłum powoli zaczął milknąć.

- Ludu Gat ha-Chefer, zebraliśmy się tu – wołał donośnym głosem – aby rozsądzić nad przyszłością naszego miasta.

- Nie ma co radzić, trzeba temu zaradzić, wysłać nasze wojsko! – krzyczał ktoś namiętnie z tłumu.

- Co racja, to racja! – wiele głosów przytakiwało.

Znów powstało poruszenie, każdy się przekrzykiwał.

- Ciszaaaaa! – kontynuował kapłan. – Do niczego nie dojdziemy, gdy każdy będzie się przekrzykiwał.

To zrobiło w końcu wrażenie na wszystkich. Zaczęli uciszać jeden drugiego.

- Sytuacja staje się niepokojąca – dodał jeden ze starszych. – Niech dowódca wojska powie, jakie mamy szanse.

Dowódca wojska wstał powoli, prostując się. Czekał, aż wszyscy się uciszą.

- Do obrony naszego miasta możemy wystawić wszystkich, którzy mogą nam pomóc... około... Może powiem inaczej – kontynuował dowódca. – W tej chwili przypada jeden obrońca na dwóch, trzech napastników.

- Ale to chyba jeszcze nie wszystko? – powiedział kapłan.

- Racja. O kilka dni drogi ciągną jeszcze nowe zastępy i wozy zaopatrzenia – dalej mówił dowódca. – Wówczas nasza sytuacja będzie już nie do pozazdroszczenia.
- Czy mamy jakieś szanse, czy też nie? – niecierpliwił się jeden ze starszych. Ludzie poruszeni tą wiadomością, coraz bardziej podnosili swe głosy.
- Ciszaaaaa! – znów uspokajał wszystkich kapłan.
- Szanse są znikome – powiedział zarządca. - Chyba że ściągniemy posiłki, wezwiemy inne miasta Izraela i Judy. Wówczas mamy szansę przegonienia Asyryjczyków. Ale trzeba się spieszyć.
- Wojna, wojna... – skandował tłum.

Ktoś przeciskał się przez wszystkich do przodu. Napotkawszy opór, przedzierał się dalej. Gdy stanął przed radą starszych, zakomunikował, że chce coś powiedzieć, co ma bardzo ważne znaczenie dla sprawy. Starsi i kapłan zgodzili się, choć z oporami. Niechętni, gdy ktoś zakłócał porządek obrad. Był nim Jonasz, którego wszyscy znali. Był odświętnie ubrany, co zdziwiło nieco wielu ludzi. Stanął naprzeciw tłumowi. Wyczekiwał.

Gdy lud zamilkł, przybrał odpowiednią pozę, jaką widział u wróżbitów. Zaczął wołać:

- Tak mówi Wszechmocny Pan... – tu wstrzymał swój głos, zamknął oczy, wyciągając ręce przed siebie, i kontynuował - dobierzcie spośród siebie zastęp doborowych wojowników i możnych. Poślijcie ich do obozu asyryjskiego. Oni przyniosą tej ziemi pokój. Będą orędownikami pokoju dla tego miasta. Tak mówi Wszechmocny Pan.

Gdy skończył, upadł na ziemię.

Jego głos był silny i zdecydowany. Nie jękał się, gdy przemawiał do tłumy. To wywarło silne wrażenie na wszystkich.

Cisza zaległa na całym placu. Wszyscy obserwowali, co nastąpi dalej. Nikt nie odważył się zabrać głosu po tym proroctwie. Wiedziano, że tak wygląda proroctwo. Ale już dawno nie słyszano głosu proroka. A tym bardziej w Gat ha-Chefer. Wszyscy znali przecież Jonaszę, znali jego ojca i ojca jego ojca. To było zaskoczenie dla wszystkich, że Pan użył właśnie jego. Wielu z niedowierzaniem kręciło głowami. Wielu przytakiwało. Wszyscy obserwowali kapłana.

Kapłan wstał ze swego krzesła. Zastanawiał się, co ma zrobić w tej sytuacji. Nigdy nie był w takim położeniu. Nigdy nie zastanawiał się nad taką możliwością. Tym bardziej, że proroków już dawno nikt nie widział. Bał się publicznie podważyć te słowa. A jak okażą się one prawdziwe? Co wówczas zrobi? Owszem, zawsze będzie mógł się czymś wykręcić, ale zdecydowanie osłabnie jego pozycja. A gdy będzie to nieprawdą, zawsze będzie można na kogoś złożyć odpowiedzialność za niewłaściwie podjętą decyzję. Tak, to było najlepsze rozwiązanie z możliwych. Nie miał kogo się poradzić - okoliczni nauczyciele prawa wyruszyli do Jerozolimy. A on musiał teraz podjąć jakąś decyzję, wszyscy oczekiwali.

Stanął wyprostowany wobec wszystkich. Podniósł rękę na znak, że zacznie mówić. Wszyscy wpatrywali się w jego usta, aby niczego nie stracić.

- Co usłyszeliśmy, wykonamy! Chwała niech będzie Najwyższemu, że wysłuchał naszego błagania!
- Tak zrobimy! – dały się słyszeć głosy ze wszystkich stron.

Wszyscy byli zaskoczeni takim obrotem sprawy. Czyżby Pan rzeczywiście sobie przypomniał o Gat ha-Chefer? Jeszcze przed spotkaniem prawie wszyscy oczekiwali podjęcia decyzji o wojnie. Jedynie wojna wchodziła tu w rachubę. Podczas gdy nagle wszystko zmieniło się radykalnie. Wojnę zastąpił pokój. Wedle tego, co powiedział Pan przez Jonasza.

Przez najbliższe dni o niczym innym się nie mówiło, jak o wystąpieniu proroka.

Minęło kilka dni, zanim zebrano oddział znakomitych i możnych mężczyzn. Wszyscy oni udali się do obozu asyryjskiego z pokojowym posłaniem od Jedyne go, Prawdziwego Boga.

W Gat ha-Chefer panowała podniosła, przedświąteczna atmosfera. Każdy oczekiwał, że niebezpieczeństwo wojny zażegnane zostanie raz na zawsze i wszyscy będą mogli wieść dalej spokojne życie. Takie były oczekiwania wszystkich. Takie też było oczekiwanie Jonasza.

Przygotowywano się na czas triumfu, który miał nadejść. Przypominano sobie czasy, gdy Pan wyzwolił cały naród przez garstkę wiernych sobie ludzi. Przekazywano te i inne opowieści z ust do ust, sycąc i rozniecając nadzieję wśród ludności.

Przed zachodem słońca dał się słyszeć przeraźliwy krzyk od strony bramy wschodniej. Na ten przeciągły krzyk zbiegli się wszyscy na plac główny, który znajdował się w środku miasta. Każdy przekrzykiwał jeden drugiego. Podawał jeden drugiemu przerażającą wieść: wszyscy z zastępu, którzy wyruszyli z pokojowym poselstwem do obozu Asyryjczyków, wrócili bez życia. Asyryjczycy pozbawili ich życia, ucinając wszystkim głowy. A ciała przytroczono do zwierząt, na których z powrotem odesłano do miasta.

Wszyscy patrzyli na przerażającą scenę. Stracili najlepszych mężów! Miasto okryło się hańbą. To, co jeszcze do tej pory było pewnym, przestało nim być. Nastrój świąteczny zamienił się w rozpacz. Wojna zdawała się być przesądzona. Ta nadzieja, która zapaliła się w sercach wielu ludzi, została tak brutalnie stłumiona. Wszelkie uczucia zaczęły być zastępowane złością.

Lament i wycie kobiet ogłaszało wszystkim potężną stratę, jakiej doświadczyła cała społeczność. Ale dlaczego? Dlaczego tak się stało? Przecież proroctwo Jonasza mówiło zupełnie co innego.

Nagle cała złość zwróciła się przeciw Jonaszowi. Przecież to on wydał niewinnych ludzi na śmierć. Ale dlaczego to zrobił? Ludzie nie chcieli znać odpowiedzi, woleli raczej uzewnętrznić swoją złość i nienawiść. Tego, czego pragnęli, to natychmiast ukamienować Jonasza. Większość ludzi chwyciła za kamienie i udała się w stronę jego zamieszkania. Lecz nie było go już w domostwie. Z tej złości zburzono jego dom, a jego zagrody zrównano z ziemią.

- Uciekł, tchórz - ktoś zawołał.

- Niech będzie przeklęty na wieki, drań – wołał ktoś inny. – On i jego potomstwo. Niech dozna tego samego, czego sam się dopuścił. Niech to spadnie na jego głowę.

Ich wściekłość przeradzała się powoli w bezsilność. Wiedzieli już, że wojna jest nieunikniona. Zaczęto gorączkowo przygotowywać się do obrony miasta. Wysyłano pospiesznie posłańców do innych miast.

- Jonaszu, Jonaszu – usłyszał głos za plecami.
- Czego? – grubiańsko odpowiedział Jonasz.
- Czy pamiętasz...?

Te słowa wzbudziły popłoch w głowie Jonasza. Nazbyt dobrze znał ten głos. Zbyt dobrze. Nerwowo spojrzał w tamtą stronę, skąd dochodziło nawoływanie. Był przerażony, zbyt przerażony, by uciekać. Odruchowo odwrócił się. Lecz to, co zobaczył, wprowadziło go w jeszcze większe osłupienie. Przed nim, w blasku słońca, stała postać. Był to dokładnie ten sam widok z dzieciństwa, z ogrodów jego dziadka, gdy schował się w swoim szałasie.

- Myślałem, że wyleczyłem się z ciebie – ledwie słyszalnym głosem mówił Jonasz.
- Jonaszu, posłał mnie Pan Zastępów, aby oznajmić ci, że nadszedł czas.

Jonasz odczuwał w tej chwili wszechogarniającą niemoc, która wylewała się na jego całe ciało, czyniąc je niezdolnym do jakichkolwiek ruchów i obrony. Jakby ręce i nogi przytroczono mu do ziemi. Nie mógł wykonać żadnego ruchu, żadnego gestu. Nie mógł nawet otworzyć swoich ust, by cokolwiek powiedzieć.

- Zaufałem Bogu dawno temu. A teraz muszę gryźć swą gorycz do końca moich dni. Muszę uciekać przed ludźmi i kryć się. Taka jest zapłata za zaufanie? – żalił się.

- Nie, Jonaszu! Zaufałeś samemu sobie. Nie ufałeś Bogu.

Jonasz chciał coś krzyknąć, nie zgadzać się z tym, ale nie mógł podnieść nawet ręki ani otworzyć swych ust w sprzeciwie.

- Kiedy przemawiałem w imieniu Pana, Boga Zastępów, w Gat ha-Chefer, miałem w sobie tyle żaru, tyle zapалу i taką pewność. Ale zawiodłem ludzi, zawiodłem samego siebie. Teraz już nie ma we mnie nic. Zupełnie nic. Jestem jak pusta studnia, jak wyschnięty strumień, jak wypalona pustynia – dodawał coraz cichszym głosem. – Dziś muszę żyć jak wygnaniec, z dala od wszystkich i od wszystkiego, ciągle w ukryciu.

Patrzył beznamiętnie przed siebie, w dal, jakby nie oczekiwał żadnej odpowiedzi.

- Czy jesteś pewien, Jonaszu, że Bóg cię posłał w Gat ha-Chefer, czy też poszedłeś, bo chciałeś siebie sprawdzić...

- A któż inny mógł mnie posłać? – zdziwiony zapytał Jonasz. – Byłem wówczas tego taki pewien, taki pewien...

- Chciałeś być pewien – usłyszał w odpowiedzi – chciałeś się sprawdzić i zawiodłeś się. Nie pytałeś Najwyższego o radę. Sam podjąłeś się być prorokiem w tej sprawie. Byłeś prorokiem ludzi. Prorokowałeś im najskrytsze ich pragnienia. Dlatego byłeś wtedy taki dumny i zapatrzonej w siebie. Kiedy jesteś prorokiem ludzi, wówczas nie możesz być prorokiem Pana.

Tu przybysz zawiesił swój głos, jakby chciał, aby każde słowo dotarło do Jonasza. Aby nic nie stracił z tego, co zostało powiedziane, ani jednego słowa.

- Dlatego – kontynuował – sam poddałeś się straszliwej próbie zawodu. Zawiodłeś siebie i innych, jak powiedziałeś. Ale nie zawiodłeś Najwyższego. Wprawdzie sam wpakowałeś się w tarapaty na własne życzenie, jednak Wszechmogący ma o ciebie staranie.

Z jednej strony te słowa raniły głęboko to, co jeszcze pozostało z dumy Jonasza, zaś z drugiej strony były ulgą. Jedną z najgorszych rzeczy jest, gdy coś jest niepewne,



gdy się jest zawieszonym w próżni. Tak do tej pory czuł się Jonasz, zupełnie nie rozumiejąc tego, co się wydarzyło w Gat ha-Chefer. Musiał szybko uciekać ze swej miejscowości. Nie zabrał ze sobą nic. Wiedział, że jeśli nie ucieknie, spotka go najgorsza i najokrutniejsza z możliwych śmierci. Tego jednak bał się najbardziej. Potem często żałował, że nie został na miejscu. Wówczas wszystkie jego problemy byłyby raz na zawsze rozwiązane i nie musiałby już więcej rozwiązywać trudnych zagadek swego życia. Byłby w końcu wolny.

Wiedza zaczęła spływać do jego umysłu. Był przerażony tym, co zobaczył.

- Ja... ja... próbowałem być użyteczny – szeptał jeszcze Jonasz.

W pewnej chwili poczuł na sobie dłoń. Ciepło zaczęło napływać do jego ciała. Jakby przedziwna moc spływała i spowijała go całego. Czuł wszechogarniający i błogi pokój, którego nie doświadczał już od wielu, wielu lat. To, co zaczęło się z nim dzieć, wykraczało poza wszelkie ramy poznania, tego, czego do tej pory doświadczał. Z jego oczu płynęły łzy, zupełnie nie mógł nad tym zapanować.

- Jonaszu, Pan posyła cię do Niniwy. Tam masz się udać. I upomnieć wszystkich, gdyż nieprawość ich dotarła przed oblicze Najwyższego. Tak masz uczynić.

Blask światła zalewał oczy Jonasz. Ale był to blask, który nie oślepia i nie poraża, lecz światło, które przyciąga.

Postać powoli znikła.

Wszystko wróciło do poprzedniego stanu.

Niniwa, Niniwa, ciągle szumiała mu w głowie ta nazwa.

- To niemożliwe, aby Bóg chciał, żebym tam miał się udać – myślał Jonasz. – To straszna pomyłka czy jakiś żart?

Znów przyszły mu na myśl bolesne wspomnienia, jakich doświadczył, będąc prorokiem w Gat ha-Chefer. Czyż może być coś gorszego?

Wówczas, po tamtych wydarzeniach, bardzo pragnął, aby ktoś odebrał mu życie. Nie miał odwagi, aby zrobić to sam. Palił go wstyd, że tak się wygłupił. Był taki naiwny. Taki głupi. Był zupełnie spalony w Gat ha-Chefer, bał się tam wrócić. Bał się spojrzeć tym wszystkim ludziom prosto w oczy. Bał się przyznać do pomyłki.

A może i teraz miał się pomylić?

Bo jakież Bóg wysyłałby swego emisariusza na pewną śmierć? Do samego gniazda os. Największego wroga Izraela. Gdyby zgodził się na tę wyprawę, byłby zarówno w Asyrii, jak i w Izraelu postrzegany jak zdrajca. A to znaczy - najgorszy wróg. Ten, kogo się pokazuje palcami, którego się hańbi i życzy śmierci. Zdraycy długo nie żyją. A może właśnie Bóg chce, aby teraz on zapłacił cenę za to, co zrobił. W ten sposób mógł się pozbyć hańby. Wprawdzie dalej byłby w hańbie u ludzi, ale może u Boga mógłby odpokutować to, co zrobił?

Asyria była potęgą. Rozciągała się wzdłuż rzeki Tygrys oraz na wschód od gór Zagros. Asyryjczycy używali tej samej nazwy do określania swojej stolicy, państwa i narodowego bóstwa – Aszur. Drugim co do wielkości miastem asyryjskim była Niniwa, leżąca na wschód od rzeki. Jak głośno wieści, byli oni okrutnymi najeźdźcami. Chwyтали licznych zakładników, z którymi obchodzono się brutalnie. Organizowano coraz to nowe kampanie wojenne, a ich sukcesy zachęcały Asyryjczyków do dalszych podbojów. Asyria była wówczas największą potęgą świata. Wszystkie inne narody żyły w ciągłym zagrożeniu inwazją. Porażał ich strach.

I teraz Jonasz miał iść do Niniwy.

Wciąż nowe wątpliwości napływały do jego wnętrza.

- Przecież czeka mnie tam niechybna śmierć... Boże! Słyszysz mnie?!

- Czy jesteś gotów służyć mi, Jonaszu? – w odpowiedzi usłyszał ledwie słyszalny głos.

- Tak, Panie – odpowiedział.

- Zatem idź!

Jonasz udał się do Jaffy, która znajdowała się o dzień drogi. Wyruszył wczesnym rankiem, jeszcze przed wschodem słońca. Wziął ze sobą niewielki bagaż, jeśli można to było nazwać bagażem. Małe zawiniątko, w którym były wota, które otrzymał dawno temu, od tajemniczego gościa w Gat ha-Chefer. Do tego jeszcze dołożył trochę pożywienia na drogę. Wyruszył.

Wieczorem stanął u wrót miasta.

Jaffa przeżywała nieustannie swą świetność od czasów króla Salomona, który kazał zakupić w Fenicji<sup>2</sup> cedry. Jaffa była portem przeładunkowym, skąd dalej transportowano towary.

To ogromne miasto żyło swym życiem. Żyło tysiącami świateł o zmroku, które co wieczór rozpalano. Ustawiczny gwar i rumor odgłosów wielkomiejskiego życia dobiegał ze wszystkich zakątków. Jonasz nie był przywykły do takiego zgiełku.

Prócz tego, ten specyficzny zapach.

Przypomniawszy sobie zapachy z dzieciństwa. Zapach pól w Gat ha-Chefer, zapach ogrodów dziadka. Bardzo tęsknił za tymi zapachami.

Nigdy nie był jeszcze w Jaffie. Wszystko wydawało się dla niego ogromne, zbyt ogromne i przytłaczające. Czuł się zagubiony w labiryncie tych uliczek. Z różnych stron dolatywały go odgłosy muzyki i śpiewu, ktoś tańczył na ulicy...

Ktoś inny wskazał mu drogę do portu. Tam dowiedział się, że ma ogromne szczęście, gdyż statek do Tarsziszu odpływa dokładnie za dwa dni.

- Tak, to będzie mój statek. W końcu – pomyślał. – Oto moje przeznaczenie...

Po dwu dniach, wieczorem zgłosił się na statek „Elim”. Był to solidny żaglowiec. Na tle innych żaglowców prezentował się niezwykle okazale, wręcz imponująco. Jonasz nigdy nie płynął statkiem, tym bardziej w tak daleką podróż.

Nikogo na statku nie znał.

Gdy tylko przybył do Jaffy, odnalazł dowódcę statku i z nim omówił sprawę zaokrętowania. Wydobył wszystkie swoje oszczędności, jakie do tej pory udało mu się nazbierać za wypas owiec. Znalazł pracę jako pasterz, a prócz tego wyrabiał wełnę. Dzięki temu udało mu się uzbierać trochę oszczędności.

Nie mógł już doczekać się wypłynięcia w morze.

Tego wieczoru, gdy trafił już na żaglowiec, otrzymał swoje miejsce. Szybko położył się spać. Chciał jak najszybciej stąd odpłynąć. Odpłynąć z tego portu. Zostawić całą swoją przeszłość i pożeglować po nowe przeznaczenie. Zagłuszał w sobie wszystkie swoje myśli. Za wszelką cenę chciał wymazać je z siebie. Odczuwał w sobie palący niepokój. Niepokój, który nakazywał mu płynąć stąd jak najdalej, przed siebie. Aby już nigdy więcej się nie zatrzymywać. Myślał sobie wcześniej, że właśnie Tarszisz spełni jego marzenia o przyszłości.

---

<sup>2</sup> Fenicja - zwana inaczej Libanem – miejsce, skąd sprowadzano cedry (przyp. autora).

Minęło kilka dni od wyjścia żaglowca w morze. Wszystko przebiegało normalnie, oprócz tego, że Jonasz nie mógł w ogóle wyjść na pokład. Bardzo źle się czuł. Wyjaśniono mu, że to choroba morska i dotyka ona prawie każdego szczura lądowego, który nie przywykł do morskich podróży. Dopiero po kilku dniach odzyskał siły, by móc wyjść na pokład i zaczerpnąć świeżego, morskiego powietrza.

Czuł się bardzo obco na tym żaglowcu. Wychodził na górę co wieczór. Nie chciał się z nikim widzieć ani nikomu pokazywać, ani nikomu nie rzucać się w oczy. Chciał być sam. Już przyzwyczaił się do samotności. Ostatnie miesiące, lata był zupełnie sam, mało rozmawiał z ludźmi. Stał się zupełnym odludkiem. Wszyscy też stronili od niego. Był gdzieś ciągle nieobecny.

Próbował porozmawiać z kimś z załogi, lecz nie za bardzo mu to wychodziło. Ta podróż zaczynała go nużyć. Jediną osobą, z którą nawiązał kontakt, był lewi Raben. Ta rozmowa wywołała na nim ogromne wrażenie, ale więcej już go nie spotkał.

Po tej rozmowie uświadomił sobie, że tak naprawdę nigdzie się nie skryje, nigdzie nie ucieknie od tego, co Bóg zaplanował. Może okłamywać siebie, innych, ale nie oszuka Boga. Czuł ogromną gorycz.

Po ostatniej rozmowie z Bogiem miał jasny, przejrzysty, klarowny obraz rzeczywistości. Obraz tego, do czego został zawezwany. Ale to słowo, to jedno słowo zaczęło wszystko zniekształcać. Ono nie dawało mu spokoju. Ono burzyło wszystko, co do tej pory miał. Burzyło wszelkie myśli i wyobrażenia. Nie odstępowało go ani na krok w ciągu dnia, a w nocy zabierało sen. Ono wdzierało się w każdy zakamarek jego jestestwa. Było jak brzemień nie do udźwignięcia. Jak ogień, który pali, a którego nie sposób ugasić.

Gdy zaczynał sobie przypominać, co to słowo oznacza, wówczas budziło ono w nim największe lęki i obawy. Dopiero teraz zobaczył, że tak naprawdę nigdy nie był gotów służyć Panu. Składać deklaracje słowne jest tak łatwo, ale zmierzyć się z własnymi lękami i obawami, to już przerastało go zupełnie. Może byłoby łatwiej, gdyby Bóg zgodził się dać mu jakieś prostsze zadanie. Ale nie, On wrzucił go od razu na głębokie wody. To go przerosło. Teraz musiał płacić tego cenę.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego właśnie Niniwa? Dlaczego miał udać się do Niniwy? Nic nie rozumiał...

Ograniczył się do służenia sobie samemu, swoim wyobrażeniom. I tego owoc teraz zbierał.

Rozmowa z lewym Rabenem zatrzęsła nim solidnie. Ale już było wszystko za późno. Zaczynał się powoli budzić. Budzić ze straszliwego snu. Wiedział, że prawie wszystkie jego wybory są nieporozumieniem. Ale musiał tego wszystkiego doświadczyć, aby raz na zawsze zrozumieć. Aby już nigdy nie wątpić. Budził się do życia.

Krzyki dookoła i dźwięki bębna zbudziły Jonasza w samym środku nocy. Zaczynało przeraźliwie rzucać żaglowcem na wszystkie strony. Różne paniczne myśli przelewały się przez jego głowę, lecz za wszelką cenę próbował zasnąć. Nie chciał na to patrzeć. Zresztą myślał, że to jest tylko sen. Jeden z wielu koszmarów, które ostatnio gościły w jego życiu. Chciał jak najszybciej oddalić się od tego kosmaru i przyzwać jakiś lepszy, cieplejszy ze snów. Był na tyle zmęczony, że natychmiast twardo zasnął.

Tej nocy zerwał się gwałtowny wiatr i z podwójną wściekłością zaczął smagać żaglowiec. Rozrywał żagle, łamał maszty. Powstało ogromne zamieszanie. Niespodziewany sztorm zaskoczył żeglarzy, którzy nie byli w stanie opanować tego żywiołu. Płynęli na oślep, gdyż niebo oblepiły ciemne, przytłaczające chmury, zza których nic nie było widać. Tak, jakby wszystko sprzysięgło się przeciw nim. Wszyscy bogowie wystąpili nagle naprzeciw. Żywioł wściekle atakował. Czegoś takiego jeszcze nikt z załogi nigdy nie widział, choć pływali po morzach całe swoje życie.

Powstał jeden chaos. Okrętowi w każdej chwili groziło rozbitcie. Fale z ogromną furją przelewały się przez niego. Jakby chciały go zatopić pod swym naporem. Żeglarze wyrzucali przez burty skrzynie i cały ładunek, chcąc uczynić okręt lżejszym. To był jedyny ratunek dla całego statku.

Każdy z obecnych żeglarzy i pasażerów wołał do swego boga, błagając go o pomoc. Czasu było bardzo niewiele, z każdą chwilą coraz bardziej śmierć zaglądała wszystkim w oczy. Paniczny strach powoli opanowywał wszystkich.

Pod pokładem panował istny mrok. Wszystko przewracało się i leciało w stronę przechyłu, by za chwilę wywracać się w drugą stronę. Woda zaczęła wdzierać się pod pokład, zalewając dosłownie wszystko, co stało jej na przeszkodzie.

Dowódca statku zjawił się pod pokładem i zaczął wołać do wszystkich:

- Niech każdy woła do swego boga o ocalenie! Bo niechybnie zginiemy! Może, który bóg ulituje się nad nami i wybawi nas.

Przystąpił do Jonasza i zaczął szarpać go za ramię.

- Dlaczego śpisz? Zaraz wszyscy zginiemy, wołaj do swego boga! Może wspomni na nas litościwie i ocali nas!

Był to okrzyk rozpacz.

Wszyscy pod pokładem poczęli wołać, każdy do swego boga czy bóstwa opiekuńczego.

Kilku z żeglarzy wraz z dowódcą byli pod pokładem, by wyciągać co cięższe towary i wyrzucać je do morza. Jeden z nich zaproponował:

- Dowódco, rzućmy losy, a niechybnie dowiemy się, z powodu kogo to nieszczęście na nas spada.

- Dobrze, rzućcie losy – zgodził się dowódca.

Dowódca był widać człowiekiem religijnym. Wiedział, że jedynym ratunkiem dla nich i całego statku w tym położeniu jest tylko nadprzyrodzona pomoc boga, jakkolwiek on się będzie nazywał. Był to jedyny ratunek. Gdyż w każdej chwili fale mogły pochłonąć żaglowiec, który w konfrontacji z żywiołem nie miał żadnych szans.

- Dowódco, los padł...

Wszyscy wstrzymali oddech, by zobaczyć, kogo los uczyni winnym tego nieszczęścia. Los pokazał na Jonasza, który siedział skulony w kącie. Wyglądał na

zbyt przerażonego. Światło powoli ukazywało jego oblicze, które zaczęło wylaniać się z mroków.

- Powiedz nam – dowódca zwrócił się w jego stronę – kim jesteś? I co takiego zrobiłeś?

Jonasz podszedł do wszystkich. Wiedział już bowiem wszystko i znał przyczynę tego nieszczęścia. Nie musiał już dłużej się chować ani ukrywać. Był pewien, że to z jego powodu Bóg upomniał się, a teraz życie tych ludzi jest zagrożone. Nie chciał dopuścić do tego, co wydarzyło się w Gat ha-Chefer. Już się przebudził ze swego letargu. Wiedział, że z Bogiem nie można żartować i żadna ucieczka jest niemożliwa.

- Jestem Hebrajczykiem i czczę Pana, Boga nieba i ziemi, który stworzył morza i lądy, i wszystko...

Gdy jeszcze mówił te wszystkie słowa, ogromny strach padł na wszystkich. Byli przerażeni...

- Bóg posłał swego anioła z rozkazem, abym udał się do Niniwy, wielkiego asyryjskiego miasta i głosił wszystkim opamiętanie. Taka była wola Boża. Ale ja nie posłuchałem tego głosu. Przeraziłem się i oto udałem się do Jaffy, by udać się do Tarszyszu. Chciałem uciec od Pana, Boga Wszechmocnego.

- Dlaczego to zrobiłeś? – pytał go dostojny Bigus. – Narażasz teraz nasze życie.

- Bóg dopomina się o mnie – mówił dalej Jonasz. – Nie o was.

- Ale przez ciebie wszyscy zginiemy.

Cisza zaległa zupełna. Każdy słyszał uderzenia własnego serca, które biło coraz szybciej. Odgłos i potężny huk przelewających się fal ponad głowami uświadamiał im ciągle zagrożenie, któremu byli poddani.

- Powiedz nam – mówił Eliezer – co mamy uczynić, aby ocalić nasze życie? I aby fale przestały burzyć się przeciw nam?

Teraz wszyscy z napięciem wpatrywali się w oblicze Jonasza i wyczekiwali, co odpowie. Napięcie stawało się nie do zniesienia. Atmosfera była bardzo zgęstniała. Gwałtowny przechył statku rzucił wszystkich na lewą burtę. Wszyscy mieli wrażenie, że za chwilę żaglowiec zostanie odwrócony do góry nogami.

- Giniemy! – zawołał ktoś.

- Jeszcze nie – odpowiedział Jonasz. – Jest wyjście.

- Jakie? Na Boga, powiedz! – domagał się Eliezer.

- Powiedz nam, na twego boga, powiedz nam.

- Musicie mnie wziąć i wrzucić do morza. Wówczas fale morskie przestaną się burzyć i wszystko się uciszy. Ponieważ wiem, że to z mego powodu powstała ta straszliwa burza – odpowiedział Jonasz.

Na nic już nie było czasu. Żaglowcem zaczęło rzucać coraz gwałtowniej.

- Dobrze, zrobimy tak jak mówisz – powiedział dowódca po namyśle.

Dowódca z żeglarzami i Jonaszem udali się na górny pokład. Wszyscy patrzyli na nich, podziwiając odwagę Jonasza.

- Panie, prosimy – modlił się Eliezer do Boga – nie daj nam zginać ze względu na tego człowieka i nie obciążaj nas odpowiedzialnością za krew niewinną. Albowiem Ty jesteś Pan, jak Ci się podoba tak uczynisz.

- Amen...

Dowódca statku z żeglarzami wyszli spod pokładu. Dotarli do burty. Twarz Jonasza była bardzo blada, tak jakby cała krew z niej odpłynęła.

- Panie przebacz mi, a ich oszczędź, ze względu na Twoje Święte Imię – szeptał Jonasz.

- Wrzućcie – rozkazał dowódca.

Żeglarze, chwyciwszy Jonasza, wrzucili go w morską otchłań.

Właśnie ogromny piorun uderzył całkiem niedaleko w morze. Tak, że wszystko rozjaśnił. Żeglarzy ogarnął paniczny lęk. I nagle wszystko się uciszyło, a morze zaczęło się wygładzać. Potężne fale znikły, a niebo odsłoniło ostatki gwiazd. Tak jakby nigdy nie było żadnej burzy ani nawałnicy.

Zaczynało świtać. Słońce zaczęło się wynurzać spośród nocnych mroków, rozświetlając niebo. Objawiając nadejście nowego.

Wszyscy wyszli na pokład. Wszystkich ogarnęła wielka bojaźń przed Bogiem nieba i ziemi, który stworzył morza i lądy, i wszystko.

Złożyli Panu ofiarę i uczynili mu śluby.

## **Rozdział II**



Bezwiedne ciało Jonasza opadało coraz niżej i niżej, w ponurą, bezkształtną masę ciemności. Bezkresna topiel ogarniała go ze wszystkich stron. Coraz słabiej zaczynał reagować na bodźce zewnętrzne. Wszystko, co miał, zaczynało niemiłosiernie ciążyć. Całe ciało poczęło drętwieć i sztywnieć. Dotychczasowy lęk i nieopisany strach przed czymś, co wybrał, połączony z wielkim poczuciem winy, odchodził w zaświaty. Nie miał już siły, by się bronić, zresztą nawet nie próbował...

To, co jeszcze chciał zrobić, a co przyszło mu z wielkim wysiłkiem, jakby chwycił się niewidocznej liny, zebrał w jedną myśl:

- Panie, przebacz mi...

Wszystko zaczęło się oddalać coraz szybciej i gwałtowniej.

Zapanowały ciemności. Bezkresne ciemności. Nie było już nic.

Nagle obudził się. Było zupełnie ciemno. Nie widział absolutnie nic. Przetarł oczy, albo mu się może wydawało, że przeciera oczy. Nadal nic nie widział. Próbował nabrać powietrza w płuca, poczuł przejmujący ból.

- Jednak nie umarłem – powiedział sam do siebie. – To jednak nie sen.

Cuchnący zapach rybi zalewał jego płuca. Zrobiło mu się bardzo niedobrze. Krztusił się.

- O Panie, gdzie jestem? Czy tak wygląda Szeol? Panie, gdzie jesteś?

Próbował się rozglądać, lecz nic nie widział. Tylko dziwne odgłosy dochodziły z zewnątrz, jakby bulgotanie. Ogarniał go przejmujący chłód. Miał przemoczone ubranie. Zaczął cały trząść się na ciele.

Zaczynał sobie przypominać ostatnie wydarzenia. Coraz bardziej dochodziła do niego świadomość ostatnich dni i tego, co go naprawdę spotkało. Zaczynał się już przyzwyczajać do tych ciemności. Jednak bał się poruszyć. Był bardzo zmęczony i osłabiony. Osunął się lekko, opierając o coś, czego przeznaczenia nie mógł dostrzec. Zasnął.

We śnie widział, jak jego ciało pogrąża się w mrokach morskich i jak podpływa olbrzymia ryba, która go pochwyciła. Znalazł się w jej wnętrzu. Słyszał głos:

- Nie zginiesz, aż nie wykonasz mego dzieła.

Przypomniały mu się słowa lewi Rabena, który powiedział do niego:

- Ty Boga nigdy nie zrozumiesz, dopóki nie zrozumiesz siebie samego. Jeszcze tylko przez trzy dni Go będziesz szukał, a On ci odpowie.

Trzy dni. Trzy noce. Ale czemu właśnie teraz przypomniał sobie o tym wszystkim. To nie mogło być przypadkiem. Wszystko się mieszało, rzeczywistość z fikcją, dzień z nocą.

Ale to wszystko miało sens. Nie było przecież dziełem przypadku. Wydarzyło się naprawdę. Nie wiedział czy teraz śni, czy obudził się już naprawdę. Zaczął widzieć wszystko bardzo wyraźnie. Tak jakby patrzył na to zupełnie z boku, jako ktoś inny, niezaangażowany emocjonalnie. Klocki jego życia znów zaczęły układać się w logiczną całość. Był świadomy, przebudzony i oświecony.

- Boże, czemu tak długo musiałem czekać na swoje przebudzenie? Czemu nie mogło to nastąpić szybciej? Zaoszczędziłoby wówczas nam obu wiele czasu, a mnie tych bolesnych doświadczeń.

- Każdy ma swój czas – usłyszał w odpowiedzi. – Czas, jak i inne pojęcia są wartością względną. Ważną dla was. Lecz w duchowym świecie nic one nie znaczą.

Jonasz dziwił się, że tego wcześniej nie rozumiał. Wszystko stawało się takie jasne i oczywiste.

- Jonaszu, musiałeś doświadczyć swych decyzji i ich skutków, aby prawdziwie zwrócić się w moją stronę. Musiałeś dojrzeć...

To, co rozumiał Jonasz, co wreszcie dochodziło do niego, sprawiało w nim radość bez potrzeby wynoszenia się.

- Panie, o tym wszystkim mówią święte księgi, gdybym był uważniejszy, ujrzałbym to na pewno.

- Owszem, mówią - usłyszał - ale ty nie byłeś w stanie zrozumieć z nich ani słowa, zanim nie stałeś się świadomy siebie. Ludzie żyją, jakby byli pogrążeni we śnie, czytają święte księgi, które stają się dla nich tylko mądrością, a nie życiem. Musisz się

obudzić, aby pojąć sens tych świętych ksiąg. One mają sens jedynie dla przebudzonych. Podobnie i rzeczywistość.

Jakby był podłączony do wszelkiego rozumienia wszystkiego i wszystkich. To było przedziwne uczucie.

- Panie, teraz jestem gotów iść, tak jak powiedziałaś. Już nie mam żadnych obaw, żadnych wątpliwości.

Plakał, a jego łzy były słone, jak słona jest morska woda. Był bardzo wzruszony.

Wylewały się z jego wnętrza przedziwne słowa, które napawały go jeszcze większą otuchą i szczęściem:

W utrapieniu moim wołałem do Pana,  
a On mi odpowiedział.  
Z głębokości Szeolu<sup>3</sup> wzywałem pomocy,  
a Ty usłyszałeś mój głos.  
Rzuciłeś mnie na głębinę,  
we wnętrze morza  
i nurt mnie ogarnął.  
Wszystkie Twe morskie bałwany i fale  
przeszły nade mną.  
Wtedy rzekłem do Ciebie:  
*Wynany daleko od oczu Twoich,  
jakże choć tyle osiągnę, by móc  
wejrzeć na Twój święty przybytek?*  
Wody objęły mnie zewsząd,  
aż po gardło,  
ocean mnie otoczył,  
sitowie okoliło mi głowę.  
Do posad gór zstąpiłem,  
zawory ziemi zostały  
poza mną na zawsze.  
Ale Ty wyprowadziłeś życie moje  
z przepaści,  
Panie, Boże mój!  
Gdy gasło we mnie życie,  
wspomniałem Pana,  
a modlitwa moja dotarła do Ciebie,  
do Twego świętego przybytku.  
Czczyciele próżnych marności  
opuszczają Łaskawego dla nich.  
Ale ja złożę Tobie ofiarę,  
z głośnym dziękczynieniem.  
Spełnię to, co ślubowałem.  
Zbawienie jest u Pana.<sup>4</sup>

Wielka ryba, która więziła Jonasza, a którą Pan zawezwał z morskich odmętów, wypuściła go w pobliżu brzegu. Jonasz był uwięziony, tak jak powiedział mu lewi

---

<sup>3</sup> Szeol - w Starym Testamencie kraina wszystkich zmarłych. Odpowiednik greckiego Hadesu (przyp. autora).

<sup>4</sup> Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Wyd. Pallottinum, Poznań-Warszawa 1980; Jon.2,3-10

Raben, przez trzy dni i trzy noce. Tego czasu Jonasz nie zmarnował. Ten czas Jonasz zyskał.

Zrozumiał samego siebie, przez co tylko trzy dni spędził wewnątrz olbrzyma. Odszukał Pana w samym sobie, a Ten dał mu się znaleźć i odpowiedział mu. Jonasz już był gotów.

## **Rozdział III**

Tego dnia Jonasz zobaczył słońce, które oślepiło jego oczy. Nie oglądał go już od kilku dni. Nie mógł patrzeć przed siebie. Wszystko go porażało.

Wyszedł na brzeg. Nie wiedział gdzie jest, ale wiedział już, skąd przybywa. Wiedział już ponad to, kim jest i do czego Bóg go wezwał.

Cały trząsał się z zimna. Ruszył przed siebie, tak jak mu Pan przykazał.

Spotykał ludzi, którzy przyglądali mu się uważnie, ale on szedł dalej, nie chciał się nawet zatrzymywać.

Przypominał sobie, gdy kiedyś, dawno temu, pustelnik znad Jeziora Kineret powiedział:

- Któregoś dnia zobaczysz i powiesz: *"Jakże inaczej to wszystko wygląda"*. Widzimy ludzi i rzeczy nie takimi, jakimi są, ale takimi, jakimi my jesteśmy. Dlatego kiedy dwie osoby patrzą na coś czy na kogoś, reagują w odmienny sposób. Postrzegamy rzeczy lub osoby nie takimi, jakimi one są, ale zależnie od tego, jacy my jesteśmy.

Widział teraz ludzi zupełnie inaczej niż jeszcze przed wyruszeniem w podróż z Jaffy.

Nie miał już sił dalej iść, ledwo trzymał się na nogach. Szedł, ślaniając się. Aż wreszcie padł.

Ocknął się. Otworzył oczy i zobaczył przed sobą kilka osób, które nachylają się nad nim.

- Muszę iść dalej – mamrotał.

- Nigdzie nie pójdziesz – usłyszał głos nad sobą. – Jesteś nazbyt wycieńczony, jakbyś od kilku dni nic w ustach nie miał.

- Posilisz się, odpoczniesz, potem pójdziesz dalej – usłyszał inny głos.

- Dziękuję... – ledwie wyszeptał, po czym znowu stracił przytomność.

Po kilku dniach zaczął wracać do zdrowia, powracały mu siły. Wstał i zaczął chodzić.

- Jak mogę się wam odwdzińczyć? – pytał się ludzi, którzy się nim zaopiekowali.

- Módl się za nami i wstaw się do Boga – usłyszał w odpowiedzi.

Któregoś dnia usłyszał we śnie znajomy głos:

- Jonaszu, jutro wyruszysz do Niniwy, wielkiego miasta. Będziesz jej głosił upomnienie, które ja ci zlecę.

- Dobrze, Panie – odpowiedział.

Następnego dnia, podziękowawszy gospodarzowi, odszedł we wskazaną stronę, w kierunku Niniwy. Gdy wkraczał na pustynię, usłyszał głos:

- Jonaszu, zaczekasz tu do jutra. Jutro o tej samej porze będzie tędy podążać karawana w stronę Niniwy, zabierzesz się z nimi.

- Tak, Panie, zrobię jak karzesz...

Miał ze sobą zapas wody i jedzenia. Więc posilił się, po czym poszukał sobie schronienia, by móc odpocząć i przenocować. Musiał teraz nabierać sił, gdyż czekała go długa podróż przez wiele krain, wiele pustyń. Ale pocieszał się myślą, że Pan jest i czuwa nad wszystkim. To dodawało mu otuchy.

Następnego dnia wszystko odbyło się tak, jak powiedział Pan. Karawana przechodziła obok. Beduini, którzy podążali do Niniwy, zabrali Jonasza ze sobą.

Zbliżając się do Niniwy, serce biło mu coraz bardziej z przejęcia. Jonasz był bardzo podekscytowany. Co go tu spotka? W jaki sposób Bóg poruszy to miasto? Te, jak i inne pytania, starał się omijać. Wiedział tylko tyle, że ma tu przyjechać i głosić opamiętanie. Nie wiedział, w jaki sposób to robi. Na razie o tym nie myślał. Starał się nie mieć żadnych oczekiwań, żadnych wyobrażeń na ten temat, chciał być po prostu wierny temu, czego Bóg od niego oczekiwał.

Zatrzymawszy się na wzgórzu, Jonasz zeskoczył z wielbłąda, na którym odbył tę długą podróż. Pożegnał się z Beduinami. Karawana, którą przyjechał, była ogromna - kilkadziesiąt zwierząt i kilkanaście stad owiec. Odprowadzał wzrokiem karawanę, która zdążała do bram Niniwy.

Jonasz stał tak, wpatrując się - był pod silnym wrażeniem tego wielkiego, rozległego miasta. Było ono naprawdę imponujące. Nigdy jeszcze nic podobnego nie widział. Jaffa przy Niniwie była zaledwie małą osadą.

Widać tu było wiele świątyń oraz dachy pałaców królewskich. W centrum stała ogromna świątynia bogini Ishtar, której dachy odbijały i mieniły się wspaniałością, rozjaśnione złotymi elementami. Na wschód od niej rozciągały się pałace królewskie, które imponowały swymi rozmiarami.

Stał na wzgórzu, jednak widział wiele wspaniałości. Zastanawiał się: „czyżby Asyryjczycy nie bali się niczego? Przecież z tego wzgórza widać było większość miasta jak na dłoni”.

Nie było wzniesione, tak jak większość miast na wzgórzach. Temu rozległemu widokowi nie było widać końca. Tak, jakby to miasto nigdzie się nie kończyło. Co prawda całe otoczone było potężnymi murami, które co kilkanaście metrów spinały potężne czworoboczne baszty zakończone ostrymi kamieniami, przypominającymi korony królewskie. Mury zakończone były ostrymi, kamiennymi zębami. Zastanawiał się, kto mógłby zdobyć te mury. Przecież nie ma takich machin, które mogłyby je zdobyć. Gdy tak patrzył na te mury, przypomniał sobie mury Jerycha. Podobnie jak tu, były one nie do zdobycia, a jednak, nadprzyrodzoną mocą Pana, padły. Bóg posłał nań garstkę muzyków, którzy obchodzili Jerycho wokół przez siedem kolejnych dni. I w zasadzie nic się nie działo. Dopiero w siódmym dniu zdarzył się cud. Muzycy zadęli w trąby, a mury padły - Jerycho zostało pokonane. Gdy tak stał i przyglądał się Niniwie, przypomniał sobie, że to, czym Bóg się posłużył, aby je zdobyć, to posłuszeństwo Jozuego. Chciał być posłuszny podobnie jak Jozue. To dodało mu jeszcze więcej otuchy. Pan przysłał go, po uprzednim cudownym wybawieniu. Nie mogło to być dziełem przypadku czy kaprysem Boga. To była wyraźna wola Najwyższego. Nieważne, co będzie dalej. On chciał być po prostu posłuszny.

Istotnie, Niniwa była królewskim miastem Asyrii, w którym królowie budowali liczne swoje pałace. Lud Niniwy był bardzo religijny. Czczył naturalne siły przyrody i miał swoich ulubionych bogów i boginie. Jej mieszkańcy snuli o nich liczne opowieści, składali im ofiary w wielkich i licznych świątyniach oraz małych kapliczkach, rozsianych po całym mieście. Prosił w nich o pomoc i oczekiwali na przychyłność swoich bóstw. O tym wszystkim dowiedział się Jonasz podczas podróży. Beduini chętnie opowiadali mu liczne historie.

Anu przewodził wszystkim bogom. Był on raczej tajemniczą postacią. Jego syn, Enlil, panował na powierzchni ziemi i traktowany był jako król bogów. Enki panował nad czystymi wodami dającymi życie. Każdy z tych bogów był żonaty i miał rodzinę.



Asztar była żoną Anu, a jako bogini wojny i miłości cieszyła się daleko większym poważaniem wyznawców niż jej mąż. Enki miał syna, Marduka, który stał się bardzo ważnym bogiem. Byli też inni bogowie: Szamasz – Słońce, bóg sprawiedliwości; Sin – Księżyc; Hadad - bóg deszczu i burzy. Jednak narodowym bogiem Asyrii był Aszur.

Teraz Jonasz mógł to sam zobaczyć na własne oczy. Mógł zweryfikować to, co do tej pory słyszał, z tym, co widzi. Nawet w najśmielszych snach nie mógł sobie wyobrazić ogromu i przepychu tego, co zobaczył. Rozwahał o tych wszystkich wspaniałościach, gdy nagle usłyszał głos Pana:

- Nie przykładaj do tego swego serca, bo stracisz cel z oczu. Nie przywiodłem cię tu, abyś sycił swoje oczy, lecz głosił opamiętanie. Oto idą dni, gdy Samaria i Królestwa Izraelskie upadną, a cały naród zostanie poddany pod niewolę. Idź i głóś opamiętanie.

- Panie – pytał wystraszony Jonasz – co mam im mówić? Jaki znak im pokażę, że to Ty mnie tu przywiodłeś?

- Nie będzie dany inny znak niż znak Jonasza - ogromna ryba, w której spędziłeś trzy dni. Dla ciebie już nie trzeba innego znaku. Idź i mów: „*Czterdzieści dni pozostaje do zburzenia Niniwy*”. Idź!

Jonasz z wielkim biciem serca schodził z okolicznego wzgórza. Im bardziej przybliżał się do bram miasta, tym z coraz większym trudem stawiał swoje kroki. Ale przecież Bóg dał mu znak. Uratował jego życie w cudowny sposób, wyrwał go z odętów otchłani. Nie mogło już więcej być w nim wątpliwości. Przebudził się ze snu. Teraz jest gotów, by stać się sługą Najwyższego. Ten odcinek drogi wydawał mu się wiecznością. Nawet ta podróż przez piaski pustyni wydawała mu się o wiele krótsza i mniej wyczerpująca. Czuł, że przerażenie ogarnia go ze wszystkich stron.

- Odwagi, Jonaszu – powiedział sam do siebie. – Pan jest z tobą.

Zbliżył się do bram miasta. Ogromne wrota były uchylone, widać nie obawiano się żadnego niebezpieczeństwa ani zagrożenia. Cóż dopiero taki przechodzić jak on mógł zdziałać wobec takiego molocha? Zastanawiał się tylko, jak ma obejść to miasto. Na odpowiedź nie musiał wcale czekać. Właśnie przy bramie kłócili się dwaj ludzie, w jaki sposób można najłatwiej obejść wielkie miasto Niniwę. To, co usłyszał, nieco go zatrużyło.

- Idąc pieszo, w ciągu trzech dni możesz obejść całe miasto – usłyszał głos jednego z nich.

Znów dostał znak. Jakaż dziwna zbieżność: trzy dni spędził w trzewiach wielkiej ryby i w trzy dni musi przejść to miasto. Pomyślał:

- Teraz jestem w trzewiach wielkiego miasta. Jak Bóg wyprowadził mnie na suchy ląd, tak i tu przeprowadzi mnie na drugą stronę.

Tak. Tego mu było trzeba. Wyprostował się, nabrał powietrza w płuca i wykrzyknął:

- Jeszcze czterdzieści dni i wielkie miasto Niniwa zostanie zniszczone!

Przestraszył się swego głosu, że jest taki silny i donośny, jak jeszcze nigdy. Dźwięki wychodziły dosłownie jak z tuby. Szedł i ciągle powtarzał poselstwo Najwyższego. Było to Boże orędzie dla tego miasta, dla tych ludzi. Bóg upominał się o nich! To dodawało mu pewności.

Gdy spojrzał za siebie, to, co zobaczył, przerosło jego najśmielsze oczekiwania. Ludzie wybiegali na ulice i stawali jak wryci. Doznał dziwnego uczucia, jakby wszystko zaczął oglądać w zwolnionym tempie. Ludzie wychylali się ze swoich domostw przez otwory w murze, dzieci przestawały się bawić, każdy patrzył w jego stronę. W ich oczach powstawało przerażenie. Z każdą chwilą to przerażenie potęgowało się. Zaległa zupełna cisza, wszystko milkło. Jakby dotykane czarodziejską różdżką.

Jonasz wkraczał wciąż w nowe obszary miasta, w nowe ulice, szedł wciąż do przodu. Jakby gnany wielką siłą, jakby unosił go niewidzialny wiatr, a on tylko dawał się prowadzić.

Nikt go nie zatrzymywał, o nic nie pytał, zresztą nikt nie byłby go w stanie zatrzymać. Był w nim taki żar, że gotów był położyć za to swoje życie na ołtarzu ofiarnym. Mogliby go kroić na najdrobniejsze części, a każda z części i tak krzyczałaby, że *jeszcze tylko czterdzieści dni zostało do zburzenia Niniwy*. Taka siła, taka moc wychodziła z jego wnętrza. Był dumny, że należy do Pana nieba i ziemi. Że jest Jego narzędziem, że może być Mu posłusznym i niczego się nie boi. Strach bezpowrotnie uciekł gdzieś na bok.

Napotkani ludzie zaczęli mu się kłaniać. Nie rozumiał tego. Kimże on jest, że ludzie się mu kłaniają? Jego szaty były postrzępione i w bardzo opłakanym stanie. Nie miał złotych szat ani pierścieni na rękach, a jednak ludzie widzieli w nim coś szczególnego, co wyróżniało go od pozostałych żebraków tego miasta. To nie mogły być szaty, w które był przyodziany. Szedł, a może raczej płynął, niczym unoszony na skrzydłach. Niepewność, która jeszcze do niedawna była w nim obecna, gdy wkraczał w bramy miasta, uleciała. Z każdym krokiem czuł się pewnym i na swoim miejscu. Nie pamiętał już tego wszystkiego, co było za nim, widział tylko to, co przed nim.

W mieście powstało wielkie poruszenie, jakiego najstarsi ludzie nie pamiętali. Całymi rodzinami wybiegali na ulicę, każdy chciał dowiedzieć się pierwszy o tych niezwykłych wieściach, które zalewały wszystkie ulice i wszystkie zakamarki tego potężnego miasta. Na wszystkich padł ogromny strach. Myśli o dobrobycie, o pokoju gdzieś uleciały, przychodził lęk, straszliwy, przeraźliwy lęk. Czas zaczął odmierzać nieuchronną zagładę. Kobiety zaczęły krzyczeć, dzieci - płakać.

Powstał nieopisany harmider. Wieść przeszywała wszystkich niczym piorun, aż do kości.

Powtarzano jedno słowo: zagłada! Przekazywano je z ust do ust. Nikt nie wiedział, skąd przychodzi. Ale każdy był pewien nieuchronnego. Słowo to porażało i paraliżowało wszystkich. Już od kilku miesięcy coś niepokojącego zaczęło się dziać w mieście. W kilku świątyniach wróżby i wieszczę przekazywali wieści. Najwyższy kapłan Isztar miał sen, że nadciągają potężne chmury od strony pustyni, które zakryły całe miasto. Kolor tych chmur przypominał krew. Wieść ta doszła do pałacu królewskiego i do samego króla. Nikt nie potrafił tego wyjaśnić. Dworzanie zaczęli prześcigać się w domysłach. Wszyscy byli pewni jednego - nie wróżyło to nic dobrego.

Co rusz wysyłano nowych wywiadowców, aby dowiedzieć się, z której strony przyjdzie zagrożenie. W międzyczasie król kazał naprawiać mury - szykowano się do odparcia ataków. Ale wszystko wydawało się być przedziwne. Nie było wówczas większego mocarstwa od Asyrii. Kto mógłby zagrozić największemu mocarstwu na Ziemi? Jakież wariat odważyłby się iść na pewną śmierć? Kto byłby takim samobójcą? Może okoliczne plemiona sprzysięgły się wobec potęgi Asyrii? Ale przecież nic tego nie zapowiadało. Dowódcy wojsk asyryjskich planowali nowe podboje. W dotychczasowych prowincjach był względny spokój. Nie było żadnego zagrożenia z zewnątrz, tak się przynajmniej wydawało. To sprzyjało budowaniu potęgi armii. Nowe podboje dawały większe możliwości. Coraz większe bogactwa i kosztowności napływały nieprzerwanie do miast królewskich. Nikt nie mógł się równać z potęgą Asyrii.

Jednak było wciąż zbyt wiele pytań bez odpowiedzi.

Najgorszy zawsze był niewidoczny wróg, którego nie można dostrzec za dnia, atakujący nocą. Takiego wroga każda armia obawiała się najbardziej.

Cała ludność Niniwy była gotowa stanąć do obrony swego miasta. Każdy chciał walczyć, każdy poczuwał się odpowiedzialny za losy miasta i całej potęgi Asyrii. To miasto pozwalało przeżyć, to miasto powodowało rozkwit życia. W końcu to miasto mogło ocalić świat. Każdy był z tego dumny.

Następnego dnia wszyscy ważniejsi kapłani z Niniwy zostali zawezwani przed oblicze samego króla, który domagał się od nich odpowiedzi. Żądał, aby wyjawili, z której strony nadejdzie nieuniknione. Jednak nikt precyzyjnie nie potrafił odpowiedzieć. Kapłani bogini Isztar przynieśli tabliczki gliniane, aby pokazać królowi przepowiednie odnośnie czasów obecnych.

- Wielki królu - powiedzieli – przepowiednie spisane w dawnych czasach mówią o nadejściu nieuniknionego.

- Kiedy? Kiedy? – irytował się władca.

Wszyscy dworzanie z przejmującym wyczekiwaniem wpatrywali się w kapłanów.

- Na jednej z nich stoi napisane, że gdy powstanie miasto na siedmiu wzgórzach, powstanie ono z wilczycy – odczytywał najstarszy z nich kapłan. – Wówczas przyjdzie wysłannik z pustyni i wszyscy będą o tym wiedzieć.

- Wysłannik? – pytał król.

- Tak, o Najświetniejszy Panie, wyrocznia nic więcej nie mówi.

- A co nasi astrologowie na to? – rzucił w stronę grupki mędrców.

Podeszli oni do władcy w ukłonach.

- O Najzaciejniejszy spośród wszystkich, gwiazdy wskazują czas nadejścia dziwnych rzeczy.

- Czy wiadomo, o jakie to dziwne rzeczy chodzi? - pytał dalej król.

- O Najszlachetniejszy Panie, gwiazdy mówią, że dotyczyć to będzie całego miasta, wielkiej, niezwykłej Niniwy - własność bogini Isztar. Potrzebujemy trochę czasu, aby zgłębić tę mądrość, o Przesławny.

Władca nagłym skinieniem przerwał rozmowę. Popadł w zadumę. To, co usłyszał, zahipnotyzowało go. Zawsze to on atakował i stawiał warunki innym. A tu, pierwszy raz, musi zmierzyć się z przeznaczeniem, którego nie zna i nie rozumie. Wobec którego wszyscy dają dwuznaczne odpowiedzi. Ile by dał, aby wiedzieć.

Zawsze, gdy miał podjąć atak na swych wrogów, wysyłał zwiadowców, aby zbierali jak najwięcej informacji. Na ich podstawie wiedział o wszystkich słabych punktach swoich przeciwników. Wiedział, co ma zrobić, czego użyć, aby dojść do zwycięstwa. A tu nie wiedział nic. Niczego nie był pewien. To go deprimowało. Jest przecież królem, ma władzę. Wezwał swych doradców i skrybów.

- Nakażecie – zwrócił się do swych doradców – ściągnąć nasze najlepsze regimenty pod Niniwę.

Wszyscy skłonili swe głowy. Nikt nie protestował.

- O Najświetniejszy Panie. Wyślijmy naszych najlepszych zwiadowców, aby wywiedzieć się, jakimi siłami dysponuje nasz wróg – mówił jeden z doradców królewskich.

Do króla podeszedł nadworny wróżba i w głębokim ukłonie rzekł do władcy:

- O Najzaciejniejszy, to zagrożenie nie jest militarne – tu zniżył głos i coś szeptał w stronę króla, jednak jego głosu nikt nie mógł usłyszeć.

Król przez cały czas milczał, jakby był pogrążony w jakimś zamyśleniu. Rzeczywiście zastanawiało go to wszystko, co ostatnio zaczęło się wydarzać w jego królestwie. Natłok dziwnych, niewyjaśnionych zdarzeń wydawał się wskazywać na coś bardzo istotnego. Było ich zbyt wiele, by można je było bagatelizować. Czuł to pod skórą.

Większość z jego doradców mówiła o zemście jakiegoś bóstwa, że jego cześć jest odbierana i jego świątynia ma za mało wotów. Ale każdy z nich chciał korzyści dla siebie. Nadworni prorocy, biczując swoje ciała, oddawali się transom hipnotycznym. Oni też nie potrafili dać jasnej odpowiedzi. Wszystko było nazbyt zagmatwane.

Lud Niniwy dowiedział się wkrótce o nieuchronnym i o tym, co mówili doradcy królewscy. Wszyscy drżeli z przejęcia. Opowiadano najstraszniejsze, mroczne historie. Wszyscy byli przejęci, od najmłodszego do najstarszego. Coś wisiało w powietrzu. Coś nieuchronnego, przed czym nikt nie mógł uciec, zresztą nie było gdzie.

Wielu możnych i kupców udawało się po porady do kapłanów i wróżbiarzy. Nikt nie mógł uciec od swego przeznaczenia. Wieczorami dyskutowano tylko o nieuchronnym. Robiono zapasy. Ale tak naprawdę, nikt nie wiedział, o jakie zagrożenie chodzi. Posłańcy przybywali z różnych stron. Żaden wróg, żaden naród nie szykował się do wojny z nimi. Ale nieuchronne wisiało w powietrzu. Zważywszy na to, że nazbyt pośpiesznie zaczęto robić ogromne zapasy w spichlerzach królewskich. Całymi dniami ulicami Niniwy podążały karawany królewskie z różnych, najodleglejszych zakątków świata. Zaczęto wykonywać w pośpiechu naprawy murów miejskich. Sprowadzano każdego dnia nowych specjalistów murarskich, by dokonywali napraw. Wszyscy zaczęli przygotowywać się do oblężenia. Szkolono wciąż nowe oddziały do odparcia wroga. Każdego dnia generowała się wszechogarniająca panika, która dotykała niemal wszystkich. Nikt nie był wolny od myślenia o swojej przyszłości. Pojawiały się wciąż nowe plotki o gniewie bogów. Ludzie zaczęli coraz bardziej odwiedzać świątynie, aby w jakiś sposób dostąpić przychylności i opieki swego bóstwa. Zaczęto opowiadać o nieznanym bogu, który z garstki pasterzy uczynił potężny naród, wyganiając wszystkich wrogów. Opowiadano najbardziej krwawe historie. Wszyscy czuli wszechogarniające zagrożenie. Nikt nie chciał się przyznać, ale prawie każdy się bał.

Gdy tego dnia Jonasz przybył do Niniwy i zawołał od strony wschodniej bramy, głos nieuchronnego zabrzmiał we wszystkich uszach. Ta wiadomość zelektryzowała wszystkich. To sprawiło, że przepowiednie odżyły. Zaczęły się wypełniać.

To, czego się tak najbardziej bali, przyszło na nich. Każdy odczuwał oddech nieuchronnego, był wszędzie wokół, był w każdym z nich. Jeszcze tylko czterdzieści dni i nieuchronne wypełni się! Co można zrobić przez czterdzieści dni? Jak je przeżyć, aby wiedzieć, że niczego się nie straciło? Co jeszcze można było zrobić? Czego żałować?

Teraz, gdy czas został wyznaczony, czy cokolwiek miało jakieś znaczenie? W uszach wszystkich dźwięczały słowa: *czterdzieści dni do nieuniknionego*. Wszystkie lęki i obawy odżyły w każdym.

Kim był ten przedziwny posłaniec, który przyniósł tak straszliwe wieści?

Jego wygląd nie wzbudzał zaufania, a jednak sprawiał, że wszyscy go słuchali z zapartym tchem. Zresztą, jakie to w ogóle miało znaczenie. Za czterdzieści dni i tak przyjdzie nieuniknione.

Z szybkością błyskawicy wieści dotarły do pałacu. Władca przebywał w sąsiednim mieście, Aszur, więc posłano natychmiast do niego posłańców z wieścią. Czekano na króla. Tego samego dnia król nadesłał odpowiedź do swych tetrarchów, aby jak najszybciej zatrzymali niezwykłego posłańca i aby następnego dnia na wielkim placu przed świątynią Isztar zwołano najwyższe obrady. Król przybywa.



Jonasz szedł dalej ulicami miasta, mijał liczne place i uliczki. Wszędzie, gdzie szedł, głosił jedno posłanie: *tylko czterdzieści dni do końca!* Nigdzie się nie zatrzymywał, chciał jak najszybciej wykonać powierzone mu zadanie. Pragnął już być uwolniony od tej posługi i tej misji. Wszędzie reagowano tak samo. Czuł się z tym jakoś dziwnie. Wprawdzie nie zakładał prawie nic - nie chciał w ogóle myśleć o tym, co go może spotkać - ale, na Boga, nie spodziewał się takich reakcji. Myślał o tym, że może stracić życie, owszem. Ale to, na co tu natrafiał, zupełnie go zaskakiwało. Tak jakby wszyscy oczekiwali na jego przyjście. Nikt przecież go nie znał ani nie mógł wiedzieć, po co tu przybywa. Nikt. Absolutnie nikt. Przypomniawszy sobie słowa z Mądrej Księgi: *Nie dzięki sile ani mocy, ale dzięki memu duchowi to się stanie.* Tak, to było jedyne logiczne wytłumaczenie.

Jonasz był coraz bardziej zmęczony. Ktoś nawet dał mu po drodze kawałek placka i wody. Słaniał się już na nogach, idąc tak cały dzień, ale nie chciał się zatrzymywać, chciał spełnić misję do końca. Marzył już, aby gdziekolwiek się położyć, odpocząć. Myślał, że teraz mógłby zasnąć na stojąco, gdyby tylko się zatrzymał. Nie mógł sobie jednak na to pozwolić.

- Misja, misja – kołatało się w jego myślach.

Dość już zawiódł swego Boga. Tym bardziej, że otrzymał znak.

Zaczynało już zmierzchać, gdy w końcu przystanął. Nie musiał czekać ani zastanawiać się, co ma zrobić. Jacyś ludzie zaproponowali mu nocleg i gościnę. Wszedł do wąskiego wejścia. Światło paliło się na środku izby, na stole. Dolne partie ścian izby mieszkalnej wyłożono kamiennymi płytami z reliefami, partie górne zaś pokryto malowidłami odznaczającymi się bogatą skalą barw. Było już późno, a Jonasz był zbyt zmęczony, aby cokolwiek mógł jeszcze dostrzec. Jeszcze miał siły, by zjeść posiłek. Ale siedząc, zasnął przy stole. Gospodarze bali się go budzić.

W pewnej chwili do domu wszedł dowódca straży królewskiej z żołnierzami.

- Gdzie jest ten przybysz? – spytał się gospodarza.

- Tam, Panie – wskazał mu ręką w kierunku stołu, za którym spał Jonasz.

Dowódca złapał za ramię Jonasa i potrząsnął nim. Musiał uczynić to raz jeszcze, gdyż ten był bardzo zmęczony i spał głębokim snem.

- Kimkolwiek jesteś... – zaczął dowódca.

- Nazywam się Jonasz – odparł oszołomiony.

- Jonaszu, przysłała mnie sam Najszlachetniejszy król i nasz Władca. Z jego rozkazu masz jutro stawić się na placu przed świątynią Ishtar i powiedzieć nam, z jakiego polecenia przybywasz. Ty – wskazał na gospodarza – masz go tam przyprowadzić.

Wyszedł, podobnie jak się zjawiał, niespodziewanie. Jonaszowi pokazano miejsce, gdzie mógł przenocować i nabrać sił przed jutrzejszym dniem. Zasnął kamiennym snem.

Tego samego dnia król przybył ze swym orszakiem. Było już bardzo późno, ale były sprawy, których nie można było odwlekać. Tym bardziej, iż oczekiwano ich już od dawna.

Przez całą drogę król zastanawiał się nad dziwnym poselstwem i nad jego znaczeniem. Nie mógł się przestraszyć jakiegoś przybysza, ale nie mógł też ignorować znaków. A było ich coraz więcej. Wszyscy jego doradcy byli zgodni - należy jak najszybciej przesłuchać przybysza i ustalić, z jakiego kraju przybywa. Cóż jego poselstwo mogło znaczyć? Kto śmie głosić zagładę nieśmiertelnemu mocarstwu? Jakże może taki śmiałek przychodzić z takim poselstwem? Przychodzi nieproszony w samą paszczę smoka i ogłasza zagładę. Nie spodziewano się bynajmniej obdartego posłańca, który nic nie znaczy wobec potęgi i nieśmiertelności Asyrii.

Jutro wszystko się okaże. Trzeba tylko dowieść i złapać tego śmiałka na kłamstwie. Wówczas on, król, zostanie wybawcą. A z drugiej strony, gdy to będzie prawdą? Gdyby tylko okazało się, że to jest prawdą? Cóż wówczas uczyni? Przecież od bardzo dawna wszyscy wypatrują nieuchronne. Gdy zaś to okaże się zwiastunem nieuchronnego? Tak, niemądrze byłoby to zbagatelizować. Musi koniecznie dowiedzieć się, kto przysyła tego posłańca? I kto się za tym kryje? Gdy pozna wroga, wówczas będzie wiedział, jak z nim walczyć.

Najgorszą z rzeczy jest to, że wszyscy słuchają tego dziwnego posłańca. Jakby nie było kapłanów, którzy są w posiadaniu wiedzy tajemnej. Dlaczego jacyś bogowie chcieli się posłużyć jakimś obdartusem i nic nieznaczącym człowiekiem? Te i inne wątpliwości gromadziły się wokół władcy.

Zasięgał rady własnych astrologów. Oni jednoznacznie ustalili, że konfiguracja planet mówi o jakimś nadzwyczajnym wydarzeniu. A jeśli to wszystko prawda? Jeśli bogowie chcą ich zniszczyć? Może za mało świąt ogłaszają, może zbyt mało ofiar i krwi przelewają? Może...

Król chciał się już uwolnić od ciężących mu myśli. Ich natłok czynił je nieznośnymi. Wystarczy, iż miał wszystko na swojej głowie, nie potrzebował jeszcze problemów wewnętrznych. Był już zmęczony.

Wreszcie dotarli do Niniwy. Było już ciemno. Straże czuwały przy bramach. Wkraczając do miasta, wyczuł niezwykłą atmosferę. Nie mógł nic więcej o tym powiedzieć, ale czuło się, jakby coś wisiało w powietrzu. Atmosfera w mieście była jakaś szczególna. Odczuwało się oczekiwanie. Wszyscy oczekiwali jego powrotu. W pałacu przywitano go uroczyście. Cały pałac był wypełniony po brzegi ludźmi. Każdy chciał wiedzieć o decyzjach, jakie podejmie król.

- O Najjaśniejszy Panie i Władco nasz – powitał go dowódca jego gwardii. – Witaj w pałacu. Wszystko jest, Panie, przygotowane na twój powrót.

- Co to za ludzie? – spytał władca, wskazując na grupki zebrane w różnych miejscach pałacu.

- To, o Najjaśniejszy, twoi poddani. Czekają na ciebie, abyś zawyrokował, co mamy robić.

- Jutro, jutro, na bogów... jutro – zawyrokował władca. – Zbierze się wysoka rada i zobaczymy.

Dał znak dla służby, aby zaniecono go na pokoje. Mistrz ceremonii ogłosił decyzję króla. Wszyscy rozchodzili się w milczeniu. Każdy z najwyższym zniecierpliwieniem

wyczekiwał następnego dnia. Co przyniesie? Każdy miał wiele pytań i wiele wątpliwości.

Zapadła noc. Długa noc dla wielu. Wiele nie mogło usnąć, zastanawiając się nad wydarzeniami minionego dnia. Jednego wszyscy byli pewni: następował przełom, coś się dokonywało. To się czuło pod skórą. Proroctwa z glinianych tabliczek ze świątyni Isztar zaczęły się wypełniać. Nadchodziło nieuniknione.

W świątyni Isztar skrybowie jeszcze ślęczeli tej nocy, starając się odczytać dodatkowe informacje o nadejściu zagłady. Teksty były częściowo uszkodzone wskutek pożaru, który miał miejsce dawno temu. Rozkładano wszystkie teksty i wczytywano się w nie. Co przyniesie jutrzejszy dzień?

Od samego rana główny plac stał się najważniejszym miejscem w wielkim i dumnym mieście Niniwie. Nie było wolnego miejsca do stania, wielkie tłumy napierały ze wszystkich stron, aby móc zobaczyć proroka, bo tak nazwano Jonasza.

Tłok był tak wielki, że musiano ustawić dwa oddziały wojska, które miały zapewniać porządek. Również o wyznaczonej porze zjawił się cały orszak pałacowy, z wodzem na czele. Na sobie miał najpiękniejsze swoje szaty, jakby liczył, że bogowie będą mieli wzgląd na jego wygląd.

Orszak był nad podziw okazały. Król zajął naczelne miejsce na podwyższeniu, gdzie ustawiono tron, na którym zasiadł. Muzycy dęli w trąby na znak rozpoczęcia posiedzenia.

Jonasza przyprowadzono dużo wcześniej na to miejsce, pod osłoną straży, która miała strzec jego bezpieczeństwa.

Nikt nie podchodził do niego, gdyż wszyscy się go bali. Stał z boku pośród innych.

Gdy prowadzili go na okrag świątynny, mógł zobaczyć ogrom sztuki asyryjskiej, ukształtowanej pod wpływem innych kultur, a także sztuki ludów podbitych (Hetytów, Hurytów, Semitów). Przejęto z nich podstawowe elementy: schematy i rodzaje budowli oraz sposoby budowania.

Sztuka była ściśle związana z władcą i jego dworem oraz z historią polityczną państwa.

Świątynia Isztar zbudowana była z kamienia (ortostaty<sup>5</sup>), glazurowanej cegły i stiuku. Okrag świątynny chronił odrębny mur. Świątynia miała swój ziggurat.

Na okregu świątynnym ustawione były rzeźby kamiennych posągów królów, w gliktyce występowały sceny kultowe oraz fryzy roślinne i zwierzęce. Ponadto wiele rzeźb reprezentowało posągi bóstw, władców i dostojników (naturalistyczne, o portretowych głowach). Szczególnie wyróżniał się posąg Asurnasirpala II.

Jonasz, mając trochę czasu, mógł się wszystkiemu przyjrzeć. Nie myślał o tym, co za chwilę ma nadejść. Wiedział, że będzie to przesłuchanie wobec króla, całego dworu moźnych, kapłanów i ludności Niniwy. Będzie mógł zaświadczyć o tym, z czym przychodzi. Czuł się wypoczęty, choć paliła go gorliwość, by dalej pełnić misję, z jaką tu przybył. Ale właśnie będzie mógł tu zaświadczyć wobec innych o woli Jego Boga, który przysłał go tu z konkretną misją.

Stojąc tam, przypominał sobie scenę z Gat ha-Chefer, kiedy to Asyryjczycy stali u wrót miasta. Przypominał sobie tych wszystkich ludzi, których znał, a których część posłał na niechybną śmierć. Przypominał sobie zgromadzenie i siedem krzesel starszych. Przypominał sobie to wszystko. Wówczas źle odczytał proroctwo. Słuchał bardziej ludzi i siebie niż Boga. Musiał zapłacić za to wysoką cenę. Teraz te wszystkie sceny stanęły mu przed oczyma. W końcu będzie mógł być wierny Bogu. Jeśli Bóg uzna, że jest godzien zapłacić za tamten błąd swoją krwią, jest gotów. Teraz już nigdzie nie będzie uciekał.

- Panie – powiedział w myślach – jestem już gotów zaświadczyć. Proszę Cię, daj mi odwagę, abym mógł mówić Twoje słowa. Amen.

---

<sup>5</sup> ortostaty - wykładziny ścian (przyp. autora)

Zagrzmiał odgłos trąb, rozpoczęto obrady. Jedynym punktem tych obrad było poselstwo, z jakim przybył Jonasz.

Na dany przez króla znak, najwyższy kapłan rozpoczął przesłuchanie:

- Kim jesteś i skąd przebywasz? – zaczął teatralnym gestem i donośnym głosem, zwracając się w stronę Jonasza.

Zapadło milczenie, wszyscy oczekiwali.

- Jestem Jonasz, syn Amittaja, pochodzę z Gat ha-Chefer i jestem Hebrajczykiem – zaczął Jonasz. – Czczę Pana, Boga nieba i ziemi, który stworzył morza i lądy, i wszystko.

Przypomniawszy sobie scenę, gdy stał pośród żeglarzy na statku. Cóż za zbieżność? I tam, i tu jest zagrożone życie tych ludzi. I tam, i tu był odpowiedzialny za życie innych ludzi. Gdyby nie to, że posłuchał głosu Boga, na pewno Niniwa byłaby zniszczona. Tak jak Bóg zniszczył Sodomę i Gomorę, zniszczyłby i Niniwę. Jedyne jego posłuszeństwo mogło temu zapobiec i uratować tych nieszczęsnych ludzi. To nic, że żyją w tak pięknym i niezwykłym mieście. Bogactwo jest widoczne na każdym miejscu, a jednak to nic im nie pomoże! Ich sława i bogactwa są niczym wobec Świętego Boga.

Czy i tym razem Bóg wyratuje go z tej opresji? A czyż to ma jakiegokolwiek znaczenie? Jest gotów zapłacić najwyższą cenę. I to jest najważniejsze.

- Bóg posłał swego anioła z rozkazem, abym udał się do Niniwy, wielkiego asyryjskiego miasta, i głosił wszystkim opamiętanie. Taka była wola Boża. Ale ja nie posłuchałem tego głosu. Przeraziłem się i udałem do Jaffy, by uciec do Tarszisz. Chciałem uciec od Pana, Boga Wszechmocnego.

Znowu się zastanowił nad tym, co mówił. Przypomniawszy sobie, że to już kiedyś wypowiadał - i to całkiem niedawno, na statku.

- Ale zaskoczyła nas burza na morzu – kontynuował swą opowieść – groziła nam wszystkim śmierć. Takich żywiołów jeszcze nikt z żyjących nie widział. Wszystkie one rozszalały się przeciw nam. Traciliśmy okręt. Wówczas żeglarze rzucili los, aby zobaczyć, kto jest przyczyną tej tragedii. A los padł na mnie. To właśnie przeze mnie Bóg się rozgniewał i zesłał tę straszliwą burzę. Aby przebłagać Boga, chciałem, aby wrzucono mnie do morza. I wrzucono...

Tu przerwał swą opowieść. Wzrok skierował na władcę, który skupiony słuchał każdego słowa. Panowała dziwna cisza, wszyscy słuchali, nawet zdawałoby się, że ptaki na drzewach zamilkły, przysłuchując się tej opowieści.

- Kiedy wrzucono mnie do morza, ogromna ryba, którą Bóg Wszechrzeczy wezwał z otchłani morskich, pochwyciła mnie. Nagle wszystkie żywioły ucichły. Byłem we wnętrzościach ryby trzy dni i trzy noce. Po czym wypuściła mnie ona na brzeg morski...

Ludzie zaczęli krzyczeć coś niezrozumiale. Kapłan podniósł rękę na znak ciszy.

- Słyszeliśmy o tej historii – powiedział. – Sprawdzimy to.

Skąd mogli słyszeć? Zastanawiał się Jonasz. Wszyscy zamarli, wyczekując.

- Jest wśród nas dostojny Bigus, którego znamy i ufamy jego wyrokom. Ostatnio przybył do naszego nieśmiertelnego miasta. Niech on przemówi – powiedział mistrz ceremonii przynaglony przez monarchę.

Zza dostojników wyszedł dostojny Bigus. Ten sam, który był na okręcie, którym podróżował Jonasz. Podeszedł do Jonasza. Zwrócił się w stronę władcy i kapłana i przemówił:

- W rzeczy samej, ten człowiek jest tym, za kogo się podaje, a historia, którą opowiada, jest prawdziwa!

Zawrzało, wszyscy zaczęli krzyczeć. Powstał nieopisany zgiełk. Jak to możliwe, że ryba pochwyciła kogoś i po trzech dniach go wypuściła? Przecież to wierutne kłamstwo. A ten człowiek jest kłamcą. Próbowano uciszyć tłum.

Nagle król wstał. To zaskoczyło wszystkich. Król nigdy podczas obrad nie opuszczał swego tronu, a wszystkie wyroki padały, gdy siedział. Wszyscy zamilkli.

- Czego oczekujesz, Jonaszu? – zwrócił się w stronę Jonasza.

- Panie i władco Niniwy i całej Asyrii. To nie ja chcę. Bóg posłał mnie, abyście się odwrócili od waszych dróg i abyście uwierzyli Jedynemu Bogu, gdyż za czterdzieści dni Niniwa zostanie zniszczona!

Kapłani zaczęli podnosić głos. Król podniósł swą rękę, nakazując im zamilknąć.

Nagle spośród ludzi stojących najbliżej monarchy wiele osób zaczęło płakać. Nikt nie rozumiał tego, ale to, co zaczęło się po tym dziać, wprawiło w najwyższe zdumienie najbardziej opornych dla tego poselstwa. Mężczyźni, którzy słynęli z wielu bohaterskich czynów na polach bitew, wybuchali płaczem.

Padł wielki strach. Ludzie zaczęli padać pod jakąś mocą, jakby coś ich poraziło. Tak jak wiatr ugina łan zboża, tak ludzie zostali dotknięci niewidoczną ręką. Ci, którzy stali, nagle padali. Większość płakała. Na wszystkich padł lęk przed nieznanym Bogiem, który teraz ukazywał swoją moc. Jonasz nie mógł uwierzyć własnym oczom. Nigdy czegoś takiego jeszcze nie widział.

Król zdjął swój płaszcz i oblókł się we włosiennicę. Usiadł na popiele ofiarnym i posypał swoją głowę popiołem.

Ci, którzy powstawali powaleni niezwykłą mocą, błagali nieznanego Boga o zmiłowanie. Z okręgu świątyni podnosił się jeden wielki lament i płacz. Czegoś takiego nikt nigdy jeszcze nie widział.

Jonasz otrzymał eskortę, aby mógł swobodnie poruszać się po całym mieście i głosić poselstwo Boga, władcy nieba i ziemi.

Na polecenie króla i jego dostojników ogłoszono taki rozkaz i wysyłano posłańców po całym mieście:

*„Ludzie i zwierzęta, bydło i owce*

*niech nic nie jedzą!*

*Niech się nie pasą!*

*Niech nie piją wody!*

*Niech włożą włosiennice, zarówno ludzie, jak i bydło.*

*Niech żarliwie wołają do Boga, któremu służy Jonasz.*

*Niech każdy zawróci ze swej złej drogi i od bezprawia własnoręcznie popełnionego.*

*A może Bóg, któremu służy Jonasz, uzali się i odstąpi od swego gniewu i nie zginiemy.”*

Wówczas wszyscy, którzy zamieszkiwali Niniwę, uczynili zgodnie z zaleceniem królewskim. Gdyż wielki strach padł na całe miasto.

Dniem i nocą błagano Boga, któremu służył Jonasz, aby odstąpił od nich z gniewem i swą zapalczywością i aby miał miłosierdzie nad nimi i nad całym ich dobytkiem. Z każdego miejsca miasta dochodziło błaganie i zawodzenie. Wszyscy podporządkowali się zaleceniu władcy i nie było nikogo, kto by złamał zakaz.

- Zlituję się, nad kim się zlituję – Jonasz usłyszał głos Boga – i wysłucham ich modlitw. Zachowam ich przy życiu, bo nawrócili się do mnie.

Jonasz, widząc, że tak się wszystko potoczyło, zapłonął gniewem. Bardzo rozgniewał się na Boga.

Po trzech dniach spędzonych w Niniwie na głoszeniu opamiętania, Jonasz udał się na to samo wzgórze, z którego niespełna trzy dni temu schodził. Ciągnęło się ono na wschód od miasta. Tam postanowił zamieszkać. Zbudował sobie szałas z gałęzi i usiadł w nim, ale nigdzie nie było cienia. Chciał bowiem przyglądać się temu, co się zaczęło dziać w mieście. Przez najbliższe dni słyszał jedynie zawodzenie i płacz ludzi, które dochodziło od strony miasta.

A Bóg sprawił, że obok niego wyrósł krzew rycynowy, który dał cień dla jego głowy. Teraz mógł więc siedzieć i obserwować.

Wszystkie poprzednie wątpliwości osaczały go na nowo. Był zdruzgotany. Na miejsce pewności, za którą jeszcze niedawno oddałby życie, przyszło rozgoryczenie i zwątpienie. Cały jego świat runął w pył. Bóg nie posłał go do jego narodu, do narodu wybranego, lecz obrał sobie inny naród. Tych strasznych, odwiecznych wrogów Izraela i całego ówczesnego świata. Tych krwiożerczych i nieprawych Asyryjczyków, którzy czczą różne bóstwa. Którzy są bałwochwalcami i poganami. Którzy wyrządzili tyle krzywdy innym ludziom. Bóg ich wybrał, aby się nad nimi zlitować! Jakby nie miał nikogo więcej, nad którymi mógłby okazać swe współczucie i litość. Przecież Hebrajczycy czczą i znają prawdziwego Boga. Tego, który go wysłał z tym poselstwem. Jakże Bóg mógł się tak pomylić, jak mógł to zrobić dla dzieci Izraela? Ma miłosierdzie dla innych, a zapomina o swoim narodzie? Jego dzieci muszą tułać się po świecie dręczeni przemocą wroga. Służą Mu, pilnie przestrzegają wszystkich ustaw i praw, jakie ustanowił przez Mojżesza i proroków. Składają ofiary przypisane prawem, obchodzą wszystkie należne święta i wiele innych czynności. A tu Bóg lituje się nad ich wrogami i darowuje im jeszcze życie. Bo gdyby tak zniszczył ich wszystkich, tak jak zapowiadał w proroctwie, on mógłby powrócić do Izraela jako ten, przez którego Bóg wymierzył sprawiedliwość ich wrogom. A sam okryłby się bohaterstwem, kto wie, może nawet poszłoby w zapomnienie to, co uczynił w swym rodzinnym mieście. Przyniósłby wyzwolenie dla całego ówczesnego świata. Dowiódłby, że Bóg, jedynie On, jest Panem i Władcą świata. A każdy, kto występuje przeciw jego dzieciom, musi liczyć się z konsekwencjami, że taki sam los go spotka.

A teraz, jakież jest sens wierzyć takiemu Bogu, który zwraca swe oblicze do obcych? Aby pogłębić gorycz Hebrajczyków, zwrócił się do ich największych wrogów. Takiego Boga zupełnie nie rozumiał. Takiego Boga nie chciał w ogóle znać.

Przyszedł z poselstwem, które głosiło opamiętanie, a oni go usłuchali! Wszyscy odrzucili swoje drogi i pokutowali. Nie dość, Bóg dokonał ewidentnego cudu sam. A on chciał, aby to dokonało się przez niego.

Spodziewał się, że jego Bóg jest jednak sprawiedliwy. Że okaże swą moc - zniszczy Niniwę, jak zniszczył Sodomę i Gomorę, bo na to zasłużyli. A ci ludzie się opamiętali i błagali jego Boga o zmiłowanie. Nie mógł tego przeboleć ani tym bardziej zrozumieć.

Słyszał jak wszyscy mali i wielcy, biedni i bogaci, z królem na czele, pościli i pokutowali. A Bóg okazywał im swoje zmiłowanie. Czuł, jak coraz większy gniew w nim wzbiera. Wszystko w nim było wzburzone, w coraz większym stopniu.

- Ach, Panie! – modlił się do Boga – gdy byłem w swojej ojczyźnie służyłem Tobie, jak mnie nauczyłeś. Wiedziałem, że jesteś Bogiem łaskawym, cierpliwym, nieskorym do gniewu i miłosiernym, który lituje się nad sługami swymi. Dlatego



uciekłem do Tarszyszu, bo wiedziałem, że chcesz się ulitować nad cudzoziemcami i przechodniami, a ponadto nad naszymi wrogami. Wiedziałem, że tak się nie godzi...

- Czemu, Jonaszu, każesz mi myśleć, tak jak ty myślisz? – usłyszał znajomy głos. – Czyż nie słyszałeś, że moje myśli nie są twoimi myślami, a moje drogi nie są ludzkimi drogami. Dlaczego więc teraz gniew zalewa twoje serce?

- Ale przecież okazując litość naszym wrogom, krzywdzisz nas! – wyrzucał z siebie całą złość. – Lepiej, gdy moje oczy nie będą na to patrzeć. Zabierz, proszę, to marne życie. Wolę bowiem umrzeć, niż żyć w hańbie.

- Powiedziałem przecież, że zlituję się, nad kim się zlituję, a tobie nic do tego.

Siedział wpatrzony w wielkie miasto, które teraz czciło jego Boga. Krzew nad jego głową sprawiał rozkoszny cień - to go jedynie cieszyło.

Następnego dnia, gdy pojawiła się zorza, na krzewie rycynowym pojawił się robak, który nadgryzł go tak, że dosłownie w oczach usechł.

Jonasz siedział pod nim i nie mógł już niczego zrozumieć. Patrzył na krzew, w którym pojawiło się życie, w całej jego okazałości. A następnego dnia, wszystko się skończyło. Wszystko zostało wstrzymane i zamierało.

Ze wschodu zaczął wiać suchy, pustynny wiatr. Słońce znów niemiłosiernie prażyło i raziło głowę Jonasza. Czuł się coraz bardziej zrezygnowany. Myślał tylko o śmierci.

- Panie, po co dałeś mi to nędzne życie, lepiej je teraz zabierz. Nie chcę patrzeć na to wszystko.

- Czemu gniewasz się i dziś – powiedział do niego Bóg. – Ja dałem życie dla krzewu rycynowego i ja je też mam prawo odebrać, nic ci do tego. Czy słuszną sprawą jest gniewać się na Mnie z powodu tego krzewu, rozsądź sam?

Jonasz był tak zapatrzony w swój żal, że było mu już wszystko jedno, dlatego odpowiedział:

- Tak, jestem zagniewany na Ciebie i to śmiertelnie, a sobie życzę jedynie śmierci...

- Ty żałujesz krzewu rycynowego – powiedział dalej Pan – którego ani nie wyhodowałeś, ani się nim nie opiekowałeś. Ja go powołałem i ukształtowałem, dając mu życie. Powołałem go do istnienia, a następnego dnia odwołałem go, bo taka była moja wola. Pokazałem ci, że o wiele większą wartość ma dla mnie życie ludzkie. Jakże nie miałbym zlitować się nad mieszkańcami Niniwy? Którzy wołają do mnie dniem i nocą? Gdyby mieszkańcy Sodomy i Gomory nawrócili się szczerze do mnie, jak ci, i zeszli ze swych złych dróg, ulitowałbym się i nad nimi. Ale ty tego nie chcesz zrozumieć, dlatego zżera cię robak, jak ten krzew rycynowy. Wasz los jest jednaki. Ty mogłeś dokonać wyboru, krzew zaś nie.